



## Spis treści

### I

Dwoje ognistych oczu .....	5
Anioły .....	12
No i co, synu? .....	16
Ty, tatusiu, potrafisz zrobić wszystko, co tylko zechcesz .....	24
Wszystko pokonam .....	31
Tysiącni dom .....	33
Chłopiec słyszy wszystko .....	41
Renault .....	45

### II

Durna baba .....	51
Musti .....	57
Rex . . . . .	60
Pies jest przyjacielem człowieka ....	68
Rozmowa zamiejscowa .....	75
Statek .....	83
Gwizdana piosenka .....	86

nym uśmiechem. — A później będzie zupa rybna z tych największych okoni.

Risto patrzył na Rexa. Dobrze mu było. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął brązowego kogutka.

— Chcecie posłuchać, co grałem temu po ciagowi? — spytał.

Ojciec i matka spojrzeli na siebie ukradkiem. Jasne spojrzenie matki spochmurniało. Ale ojciec rzekł zachęcająco:

— No, to zaśpiewaj!

• — To krótka, bardzo krótka piosenka. Piosenka gwizdana — rzekł Risto.

*Gwizd wznosi się do nieba,  
Pan Bóg słucha.  
I ptaki słuchają,  
i wszystko słucha:  
Kto jest tym kompozytorem?  
Jest nim tylko,  
jest nim tylko  
jeden chłopiec z tamtej gwiazdy,  
którego imię jest zagadką.*

Wesoły gwizd napełnionego wodą glinianego kogutka zabrzmiał w małej kuchence. Wypłynął przez drzwi i okno w pogodny wieczór letni, do lasu, gdzie ptaki przyłączyły się do śpiewu, na łąki, gdzie cykały świerszcze, na ulice, na których dudniły pośpieszne bądź też cicho szeleściły powolne kroki, wreszcie na boisko, gdzie chłopcy ścigali się z piłką.

i przytuliła do siebie. Ojciec rozpostarł gazetę i przeglądał ogłoszenia. W końcu rzekł:

— Pojutrze zaczyna się letni urlop. Co byście powiedzieli, gdybyśmy wyruszyli w drogę starym renaultem. Kupimy namiot i przyrządy wędkarskie. Prawdziwe spinningi. Będziemy pędzili życie obozowe. Tu jest ogłoszenie o namiocie.

Odwrócił stronę gazety i odezwał się zza niej po chwili:

— Co byś na to powiedział, Risto, gdybym kupił ci chociażby używaną wiatrówkę? W skarbonce masz przecież część pieniędzy, które trzeba by za nią zapłacić, a ja dodam resztę. Ćwiczylibyśmy razem. A potem przeko-  
nalibyśmy się, który z nas dwóch będzie zdobywał nagrody za trafienie w kręcącą się lalkę w strzelnicę.

Risto ześliznął się z kolan matki na podłogę.

— Są sygnały alarmowe, są pierwsze nagrody. Rety! Cały dom się budzi, gdy zaczynają nagle dzwonić.

— Byłoby wtedy dzwonenie, że ha! — rzekł ojciec.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

Risto spytał:

— Myślisz, że trafiłbym w dziesiątkę?

— Jeśli ja trafię, to, oczywiście, i ty. Nie jesteś przecież ani trochę gorszy.

— Z tego wyjdą potężne zawody.

— Tak, między nami, mężczyznami.

— Co wtedy będzie robić mama? — spytał Risto.

— Bułeczki dla zawodników — odparła matka i uśmiechnęła się, szczęśliwa, nieco rze-

z psem, bez marynarki, z gołą głową. Matka stała na schodach zakrywając twarz rękami. Ojciec biegł za psem. Kiedy sygnał alarmowy zabrzmiał po raz pierwszy, ojciec rzucił się pędem naprzód. Zanim pociąg zdążył nadjechać do wylomu skalnego, Rex był już koło Rista i wsunął mu łeb pod pachę.

— Rex! — rzekł Risto i pogłaskał łeb psa.

— Rex!

W kilka sekund później ojciec schwycił Rista, uniósł i postawił na protezach. Silny podmuch powietrza, wywołany przez lokomotywę i wagony, uderzył ich w twarze, szarpnął nimi. Risto stał pewnie, bo obejmowały go silne ręce ojca. Stali tam, póki ostatni wagon nie minął ich z łoskotem.

— Ruszamy do domu — powiedział ojciec cichym, lekko zachrypniętym głosem.

Był blady, zdenerwowany.

— Dlaczego tu przyszedłeś? — spytał.

Pociąg zniknął już z oczu. Risto spojrzał za nim.

— Chciałem pokazać, że ja... że ja...

Ojciec przytaknął.

— Rozumiem. Chciałeś pokazać, że zmieniłeś się, że masz zamiar iść przez życie przebojem.

— Właśnie — odparł cicho Risto.

Ojciec poklepał go lekko po ramieniu.

— To kamienista ścieżka, ale ty ją dobrze znasz. Nie ociągaj się jednak teraz. Matka czeka na ciebie z niecierpliwością.

Matka nie powiedziała nic Ristowi, wzięła go tylko na kolana. Pogłaskała po włosach

wytrzymawał dobrze saunę i lubił okładać się miotką.

Sygnal alarmowy na przejeździe zadzwonił. Risto drgnął i przestał gwizdać. Sygnal wydzwaniał wyraźnie:

— Uwaga uwaga pociąg, uwaga uwaga pociąg!

Zbliżanie się pociągu oznajmił łoskot wagonów, który wznosił się ponad stok skały, przerażał i ogłuszał. Risto usiłował grać, ale gwizd kogutka nie zdołał zagłuszyć łoskotu.

— Rex!

Samotny krzyk samotnego chłopca. Pies zaszczał w odpowiedzi, ale jego szczekanie zza zakrętu skały utonęło w łoskocie pędzącego pociągu pasażerskiego.

Minęło znacznie więcej czasu, niż Risto zdołał to sobie uświadomić. Rex wyczuł coś niezwykłego, pognął do domu wezwać pomoc. Ojciec i matka byli już niespokojni.

— Dokąd ten chłopak poszedł? — niecierpliwił się ojciec.

Za bramą zaszczał Rex. Ojciec i matka pośpieszyli do drzwi.

— Przyszedł wreszcie, łobuz!

— Obrzydliwi spóźnialscy! — rzekła matka.

— Pies jest sam!

— Na miłość boską!

Ojciec poszedł do furtki i otworzył. Rex nie wbiegł na podwórze. Popatrzył na ojca, odwrócił się, znów popatrzył, chciał, żeby ojciec z nim poszedł. Ojciec zrozumiał i ruszył

kach trzymał brązowego kogutka z gliny, prezent od dawnej właścicielki Rexa. Gwizdaw-ka była błyszcząca, pomalowana w niebieskie kwiatki. Była piękna, ale nie tak piękna, jak kupiony przez ojca czerwony kogutek-gwiz-dawka, ten, który był w domu i który opowiadał o małych i wielkich radościach Rista, o jego małych i wielkich smutkach. Ta gwiz-dawka, otrzymana w prezencie, pochodziła z jakiegoś południowego kraju. Tak powiedziała pani, patrząc ze smutkiem daleko na południe. Była kupiona jako upominek z podróży dla małej dziewczynki, której już nie było.

Brązowy kogutek miał cudowny głos. Gdy gwizdawkę napełniło się do połowy wodą, a później dmuchnęło, miało się wrażenie, że rozlega się wspaniały chór dziesiątków słowików i wszystkich ptaków, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Risto przyszedł zagrać piosenkę pociągowi, który ciągnęła sapiąca, ognistooka odcinacz-ka nóg.

Przebogaty w tonach gwizd kogutka poniósł go wraz z sobą. Risto przeobraził się w latającego tysiącnoga, w latającą mrówkę, w wiewiórkę-polatuchę, zdobył milowe buty i skakał w nich na wszystkie strony, gdzie go tylko poniosła ochota. Wzleciał ponad las. Ponad przepiękny las. Schwycił rozchwiany wierzchołek świerku. Pachniał żywicą. Opuścił się na łąkę i narwał dla matki stokrotek. Jakże będzie się cieszyła tymi ślicznymi kwiatuśkami! Na skraju łąki można narwać gałązek na miotelkę dla ojca do sauny. Ojciec



— Bułki zaraz się spalą.

Statek nosił nazwę Cud. Budowniczy-wa-gabunda, Risto, to chłopiec, który korzysta więcej z głowy niż z nóg. Chłopiec, który może zostać, kim tylko zechce.

Risto otworzył oczy i w tejże samej chwili wrócił do małego pokoiku. W tym pokoiku przed jego oczami leżał rysunek statku. Protezy stały w kącie prosto, jak żołnierze na paradzie. Risto westchnął. Statek istniał tylko na papierze. Pomimo to można było jednak podróżować na nim i przewozić najrozmaitsze ładunki. Trzeba tylko zamknąć oczy, a od razu wyruszy się w podróż.

Risto zamknął oczy. Wszedł na mostek kapitański i natychmiast orkiestra zaczęła grać marsza statku Cud.

*Statek Cud płynie,  
maszyna łaskocze.  
Ładownie są pełne ciepła  
i miłości. Co jest celem  
podróży? Afryka albo  
Ameryka, mały Finlandii  
kraj. Ładunek statku Cud  
przyżywa. Odbierajcie!*

### Gwizdana piosenka

Risto siedział na skraju wyłomu skalnego nieopodal toru, w pobliżu miejsca, z którego wybiegł na zdrowych nogach na tor, po czym wrócił niesiony przez ojca, już bez nóg. W rę-

prezydentów, królów. Po drodze zabrał amerykańską Statuę Wolności i przywiózł do Finlandii. Rety! Teraz w Ameryce skończy się, a w Finlandii zacznie wolność. Załadował w Afryce ciepło i przywiózł je do Finlandii, a z Finlandii zawiózł mróz do Afryki. Zmienił stosunki na świecie. Wiózł tak dobre ładunki, że ludzie stawali się dobrymi dla siebie nawzajem. Wiózł ciepło i miłość z jednego miejsca na drugie. Jeśli ktoś próbował gdzieś szachrować, postępując źle, prezydent Finlandii wyruszał cudownym statkiem do złoczyńcy i mówił:

— Czy załatwisz sprawy jak należy, czy też mam ci dać w pysk?

Złoczyńca przepraszał i przyrzekał:

— Tak, tak, załatwi się, panie prezydencie Finlandii.

A kto był kapitanem statku? Był nim ojciec.

Matka gotowała jedzenie w kambuzie, aby nikt w czasie podróży nie zaznał głodu.

A co ja robię?

Protezy nic nie przeszkadzają. Wymyśliło się do nich nowy aparat, taki, który zrobił je tak samo sprawnymi, jak są zwykłe nogi. Wchodziło się na nich na mostek kapitański i mówiło:

— Kurs prosto na południe!

I dziób statku skręcał natychmiast w stronę Afryki.

Na statku było specjalne urządzenie do przypominania. Jeśli czasem zapomniano się o czymś, na przykład o bułkach w piecu, tak jak matka czasem zapominała o nich, zajęta szyciem, wtedy aparat przypominał:

Można budować ją samemu, ale w równie silnym stopniu wpływają na nią ciepłe albo zimne słowa. Ojciec i matka mieli dla niego ciepłe słowa. W słowach pani było także ciepło, serdeczność ludzi obcych. Słowa inżyniera były to mocne, ale pobudzające odwagę, rzeczowe słowa. Trudno było ustalić barwę jego słów. Może odcienie brązu i szarości. Szarości i rdzawego brązu, jak bok statku, który malowano w stoczni.

Statek przeobraził się nagle w ważny przedmiot. Ojciec okazał się wspaniałym przewodnikiem, rzeczoznawcą.

— Z tyłu śruba okrętowa, bez niej nie ruszyłby w świat. W środku jest maszynownia. Śruba uzyskuje stamtąd siłę. A na mostku stoją kapitan i sternik, którzy prowadzą statek.

Ojciec wiedział dużo o statkach i maszynach. W młodości służył przez dwa lata na morzu jako palacz. Dbał o to, żeby statek płynął naprzód.

— Ty byłeś wszystkim — rzekł Risto. — Gdybyś przestał palić, statek by stanął.

— Robiłem też inne rzeczy — rzekł ojciec. — Zakładałem na masztach reje. Są potrzebne, jeśli twój statek zamierza transportować ładunek. Dno pomaluj na czerwono, a boki na szaro. Pokład może zostać biały.

— Dokąd na nim wyruszę? — spytał Risto.

— Możesz wyruszyć chociażby w podróż dookoła świata.

Wyszedł z tego statek, który można było użyć do różnych celów. Ładował piramidy, małpy, smoki, ważne osobistości, władców,

*Po błękitnym niebie  
biegną białe owce  
biegną  
śmieją się  
na niebieskich łąkach  
wydzwanając czas.  
Tęcza zawiesza  
na szyi Boga  
paciorki pereł niebieskich  
czerwonych żółtych.*

— To było dla ciebie, Rex — powiedział Risto siedząc na podwórzu, na huśtawce we dwójkę z Rexem. — To była niebieskoczerwona piosenka. Pieśń chmur i deszczu. Ty przecież rozumiesz.

### Statek

Stocznia i statek. Statek było łatwiej narysować: kadłub, maszty, pomost. Risto popatrzył na swój rysunek. Przypominał zupełnie prawdziwy statek, taki jaki widział zwiedzając stocznię. Odwiedziny zrodziły w nim wiarę w siebie, może nie tyle sama stocznia, co słowa inżyniera. Powiedział: Możesz zejść, dokąd tylko zechcesz. Nie oznaczało to biegacza, zapaśnika czy boksera, który bez nóg jest zerem. Risto zrozumiał: oznacza to coś innego. Chodź na razie do .swojej szkoły — powiedziała pani, a później dodała: Spotkamy się znów. Te słowa zawierały wiarę, zachętę, milczącą obietnicę. Risto pojmował: było w nich słowo, które nie ma granic. Przyszłość. Przyszłość może przynieść wszystko.

Na twarzy ojca ukazał się uśmiech.  
— To prawda. Nie kreśli się tam nogami.  
Potrzebne tam głowa i ręce.  
" Ojciec i syn spojrzeli na siebie. Łączyła ich niewidoczna, silna więź.  
— Trzeba by tam jeszcze wstąpić i popytać o pracę dla ciebie, Risto.  
— Dodaj gazu! — rzekł Risto. — Zaraz zaczną trąbić za nami z tyłu. Mignęły już obok nas ostatnie buty.

Matka czekała z gotową kawą na stole.  
— Gdzie placek Rexa? — spytał Risto, zbliżając się do stołu.  
— W kącie, obok płyty kuchennej.  
— Czy powiesz: zgoda, jeśli ładnie poproszę?  
— No, zgoda!  
— Połóż ciasto Rexa na stole. I przystaw dla niego krzesło.  
Matka lekko się skrzywiła, ale zrobiła, o co ją Risto prosił.  
— Rex! — zakomenderował Risto. — Skocz na krzesło!  
Pies posłuchał.  
— Weź ciasto, Rex. Proszę.  
Risto pogłaskał psa.  
— Jesteś naszym honorowym gościem. Zupełnie jak oni mówili o mnie, gdy jedliśmy razem z inżynierem.  
— Wygłoszę teraz pierwszą w życiu mowę — rzekł ojciec i podniósł filiżankę kawy. — Risto i Rex! Zdrowia i wszelkiej pomyślności! Witajcie w naszym domu.

Risto obtarł oczy.

— Pani i inżynier — tęczowe słowa — szepnął cicho, tak cicho, aby nikt nie usłyszał. Ażeby ojcu nie było przykro. Jest przecież najlepszym ze wszystkich mężczyzn. Ani matce, która jest najlepszą ze wszystkich kobiet.

— Urosłeś — powiedział ojciec. — Zmieniłeś się. Dobrze, że żyłeś się z innymi ludźmi.

— Zapomniałem o nogach — rzekł Risto. — Jak gdyby ich nie było. Jak gdybym nigdy ich nie miał.

Ojciec zahamował i zatrzymał samochód. Drogą maszerowała kolumna żołnierzy. Regularne kroki żołnierskie dudniły rytmicznie.

Ojciec popatrzył na siedzącego obok syna, którego oczy zdawały się być przygwożdżone do podnoszących się i opadających nóg. Wargi chłopca poruszały się.

— Nogi — wyszeptał nieświadomie. — Nogi, nogi.

— Tak to jest, Risto — rzekł ojciec. — Ale, bądź co bądź, masz głowę. I oczy, i uszy.

— Ja myślałem o tym, że nogami nie można kreślić — odparł Risto, nie odrywając wzroku od maszerujących żołnierzy.

— Co mówisz?

— Ten inżynier powiedział, że mogę usiąść, gdzie mi się spodoba, jeśli mi tylko wystarczy wytrwałości.

— Oho! Tak uważa.

— Byliśmy w kreślarni w stoczni. Oni tam tylko siedzą i kreślą.

bie byłoby lepiej zostawić innym prowadzenie taksówki, a samemu siedzieć na tylnym siedzeniu. Jeśli postawisz sobie zdecydowany cel, możesz usiąść bodajby na moim miejscu, gdy ja je zwolnię. To nie jest niemożliwe do osiągnięcia. Musisz jedynie ruszać głową. Na samych nogach nie zajdzie się daleko.

W drodze z wyspy na ląd, do domu, pani spytała:

— Czy zastanawiałeś się nad tym, co ci proponowałam? Jeśli się zgadzasz, musisz na razie chodzić jeszcze do swojej szkoły.

— Porozmawiam z ojcem.

Ojciec czekał na przystani.

— Rex to wspaniały pies — powiedziała do ojca pani. — Nikt nie wie, jak się dostał do naszej willi na wyspie. Płynął od wyspy do wyspy, a morda służyła mu za kompas.

— Czy jeszcze ucieknie?

— Przekonamy się.

Uzgodniła sprawę z Ristem, a następnie zakomenderowała :

— Rex, z powrotem na motorówkę!

— Rex — rzekł ostro Risto. — Do samochodu! Na tylne siedzenie.

Pies wahał się, spoglądał kolejno to na panią, to na Rista. Wreszcie powlókł się wolno w stronę otwartych drzwiczek samochodu. Pozwolono mu wyjść, kiedy motorówka odpływała. Stali tam w trójkę i patrzyli na oddalającą się łódź, na rozpryskującą się wodę przed wysokim dziobem i pianistą smugę wodną za rufą, na kobietę, której postać migiała, póki łódź nie zniknęła za najbliższą wyspą.

zapach. Dobre oczy, dobre słowa. A w inżynierze, jej mężu, ukazało się również coś więcej niż wspinałe okulary. On mówił do Rista jak do mężczyzny, mówił o różnych sprawach, opowiadał zupełnie jak koledze. Zupełnie jak równemu sobie. Zapraszał do kąpieli. Pływał obok, grał w piłkę wodną. Zabierał do sauny. Znikał w parze. Rety, można było pęknąć ze śmiechu, kiedy znikał w parze i był trochę zakłopotany. Tłumaczył się, że nie jest tak bardzo złym palaczem, bywają jeszcze gorsi. W podciąganiu się na drążku był zawsze drugi, tak że nawet Rex się śmiał. To prawdziwy człowiek, ten inżynier. Z nim można rozmawiać o wszystkich sprawach. Powiedział, żebym przyszedł obejrzyć jego stocznię.

Poszli z panią. Była tam kreślarnia. Wielu mężczyzn siedziało i kreśliło, ciągnęli kreski proste i krzywe. Stały tam olbrzymie maszyny, nigdy by ich się nie udało zmieścić w samochodzie. A ten inżynier był szefem. On wydawał polecenia, a wszyscy słuchali. Siedział w fotelu, który się kręcił. Inżynier kręcił się wraz z nim i mówił do skrzynki, stojącej na stole, tak że jego słowa słychać było wszędzie. Powiedział do Rista:

— Zjemy razem obiad, moja żona, ty i ja.

Na dworze czekał wielki, czarny mercedes i szofer. W drodze inżynier powiedział:

— Bez nóg można dać sobie radę, ale nie można bez głowy. Mówiłeś, Risto, że chciał byś zostać taksówkarzem, gdy urośniesz.

Chcesz tego, ponieważ jest to dla ciebie trudne. Owszem, ty to osiągniesz. Wierzę, że osiągniesz. Ale możesz zostać kimś innym. Dla cie-



— Tak, jadę — powtórzył Risto. — To diabeł z tego Rexa.

— Podobno bardzo schudł. Można się było tego spodziewać. Nie przekroczył płotu sąsiedniej działki, nie wchodził na nią. Nie, choć stamtąd przynoszono mu jedzenie.

— Twardy chłop — powiedziała matka. — Taki jest właśnie nasz Rex.

— Czy przyjdzie do mnie? — spytał Risto.

— Jest przecież różnica między człowiekiem a człowiekiem. On wie, że ty jesteś jego prawdziwym właścicielem. Wie, ale jeszcze nie uznaje. Gdy to uzna, odda życie w twojej obronie.

Nieznane miejsce było jak czarna chmura niosąca burzę. Napełniało lękiem. Własny dom był małą, ciepłą chatką. Znane kąty, znane zapachy. Mocny ojciec. Matka, która wszystko zawsze rozumie. Obca kobieta jednak ładnie pachniała, a jej mąż miał wspaniałe okulary. I tam był Rex. Owszem, tam można jechać. Rex zrozumie. A ci inni nie zjedzą.

Po upływie dwóch tygodni Risto zadzwonił do domu.

— Wracam za dziesięć dni. Ciocia odwiedzi mnie na brzeg. Z Rexem jesteśmy już przy jaciółmi. Jest obok mnie. Trąca mnie. Może chce rozmawiać. No, Rex! Powiedz coś!

W telefonie dało się słyszeć przyjazne warknięcie.

— Przyjedź po mnie! A mama? Przyjedź sam. Powiedz mamie, żeby przygotowała ja kiś smakołyk dla Rexa. Na jego powrót.

W obcej kobiecie jest coś więcej niż miły

Ojciec mówił i poruszał się czasem tak wolno, że nie można było już wolniej. Odkłada powoli słuchawkę. Na miłość boską, niechby ją położył choć trochę prędzej! Odwraca się do Rista, znowu tak straszliwie wolno.

— Rex się odnalazł.

Ojciec powiedział to jak pastor z ambony:

— Jezus przyszedł.

Na świecie było jeszcze dużo dobrych rzeczy. Telefon to dobre urządzenie. Donosił o dobrych rzeczach. Rex się odnalazł.

Poprzedni właściciele Rexa byli za granicą... Rex się... odnalazł... nie... Rex przepłynął do willi swojego pana... gdzie mieszkał sam do tej pory... biedny Rex, przecież... mogłeś się utopić... właściciel sąsiedniej willi zobaczył go ... przynosił jedzenie.

— Czy on mówi, że chce go zatrzymać? — spytała matka.

— He? — rzekł ojciec do głębi zaskoczony. — To przecież nasz pies. Pieniądze za karmienie zwrócę... nie będę się targował... I również pieniądze za przetrzymanie, jeśli zechcą. Pogodzimy się. Ale on zaproponował co innego. Oni proponują coś w sprawie Rista.

Risto słuchał uważnie.

— Zaproponowali, żebyś przyjechał do ich willi. Kiedy tam będziesz, Rex będzie się mógł więcej nauczyć. Będziesz razem z nim i Rex nauczy się, że ty jesteś jego panem. Co myślisz, Risto?

— No dobrze. Zgoda. Dla Rexa.

Rex nie był już czarnym słowem. Był znowu słowem tęczowym, ciepłym, dobrym słowem.

mają to lub owo. Telefon był bardzo użyteczny\* gdy nogi zostały obcięte, gdy wzywano karetkę Pogotowia Ratunkowego, a następnie dowiadywano się, jak chłopiec czuje się w szpitalu.

Ten telefon był zagadkowy: choćby się chciało, nie sposób było zgadnąć, nikt zresztą nie próbował nawet zgadywać, co się kryło za tym długim dzwonieniem.

— Mnie to tak przstraszyło — rzekła matka, a ojciec siedział dalej i patrzył na telefon, jakby to była bomba.

— Nie zamierzacie podnieść słuchawki? — spytał Risto. — Może to coś bardzo ważnego. Może bomba atomowa.

Ojciec podniósł słuchawkę.

— Halloo! Tak, to ja. Tak, właściwy adres. Że co?... Na twarzy ojca pojawiło się podnie- •  
cenie. — Słysząc trochę niewyraźnie. Proszę powtórzyć jeszcze raz.

Risto odłożył książkę i z napięciem obserwował twarz ojca. Matka przerwała swoją wieczną krzątaninę, usiadła i patrzyła również na ojca. Ktoś coś wyjaśniał ojcu, a ten powtarzał raz po raz:

— Aha... owszem... rozumiem.

Dlaczego telefon nie jest tak urządzony, aby każdy mógł słyszeć, gdy mówi się o ważnych rzeczach na linii zamiejscowej? Dlaczego nie jest tak urządzony jak radio? Byłoby dużo łatwiej. Nie trzeba by opowiadać wszystkiego na nowo. Każdy by słyszał i mówił:

— Dobrze, właśnie.

— Owszem, to się da zorganizować... W ciągu paru dni... Jasne.

Nauczycielka przeczytała wypracowanie Rista całej klasie. Była bardzo serdeczna i nie zapomniiała spytać pod koniec roku szkolnego, czy Rex się znalazł.

— Nie!

— Czy nie możesz wziąć nowego psa na miejsce Rexa?

— Nie warto. Nie, choćby się zapłaciło tysiąc marek.

*Wszystkie słowa  
są czarnymi słowami.  
Noc zakryła  
słowa.  
Przyjdź, tęczowe słowo,  
przyjdź.  
Przyjdź jutro.*

Mały chłopiec patrzył przez okno w pokoju daleko, daleko, aż po skraj nieba, na chmury, w przestworza.

## Rozmowa zamiejscowa

Pewnego wieczoru na początku czerwca rozległ się bardzo długi dzwonek telefonu.

— Linia zamiejscowa — powiedziała matka. — Kto też może do nas dzwonić?

Ojciec i matka popatrzyli na siebie. Risto przerwał czytanie i również patrzył na nich. Telefon dzwonił w ogóle rzadko, linia zamiejscowa nigdy. Matka czasem korzystała z telefonu w sprawie swego akordowego szycia albo żeby porozmawiać ze starą znajomą. Przez telefon można zapytać w sklepie, czy

będziemy go trzymali na uwięzi tak długo, póki się całkiem nie przyzwyczai.

Wziął gazetę. Próbował czytać. Znow za-  
telefonował, ale nikt nie odpowiadał.

— No, co tam, Risto?

— Dostał upomnienie za lenistwo — po-  
owiedziała matka. — Należało napisać wypra-  
cowanie o psie.

— Czy już gotowe?

Risto coś mruknął. Ojciec wziął zeszyt i  
spojrzał.

— Owszem, on wróci — rzekł. — Wróci,  
jeśli nie stało mu się co złego. Zrobię wszy-  
stko, żeby wrócił.

Popatrzył na pusty zeszyt i na syna.

— No i co, synu?

Matka pocieszała, pieściła, głaskała, zache-  
cała.

<

— Napiszemy razem. Ja będę dyktowała,  
a ty będziesz pisał.

Położyła zeszyt przed Ristem, odchrząknęła i  
zaczęła powoli:

— Rex to imię psa, to taki pies, któremu  
można zaufać. To nasz pies.

Risto podniósł wzrok. Przełykał ślinę.

— Diabeł!

Słowo zabrzmiało jak modlitwa, prośba,  
przysiężenie. Zawierały się w nim rozpacz i  
strach, i osamotnienie małego chłopca.

Ojciec zrozumiał: słowo zastąpiło płacz. On  
również zaklął i przełknął ślinę.

Potem odkaszlnął jakby coś miał w gardle.

— Piszemy.

— Jest wierniejszy niż człowiek, który go  
oddał.

— O zwariowanym psie, o takim, który ucieka.

—\* Weź się do tego. Musisz napisać dziś wypracowanie. Przypilnuję, żebyś to zrobił.

— Napisz sama. Ja idę szukać Rexa.

— Nie pójdziesz. Poczekamy do wieczora. Gdy znajdzie sukę, przydrepcę do domu za-wstydzony. Zrobi tak na pewno.

— To wstrętne!

Maszyna do szycia zaczęła znów terkotać.

— Wstrętne? Rex jest mądrzejszy od ciebie. Bierz z niego przykład. Nie zaszkodziło by, gdybyś i ty bawił się z dziewczynkami.

Maszyna dalej terkotała monotennie. Spod-dnie, spodnie, spodnie — terkotała maszyna do szycia.

Risto położył się nie zdejmując protez na kanapie i leżał na brzuchu.

Mówiłem mu, że jest moim najlepszym przyjacielem. Rozumiał. Wiedział. I poszedł za babami. Nie będę się za to gniewał. Ale jeżeli dostał się... nie, to niemożliwe... ale jeżeli dostał się pod samochód...

Ojciec wrócił do domu przed wieczorem.

— Gdzie Rex?

— Na dworze. Wybiegł po południu.

— Czy był uwiązany?

— Nie pomyślałam o tym... Szukałam go już.

— Jak to dobrze, że zapłaciłem. On wrócił do swego dawnego domu.

Ojciec podszedł do telefonu.

— Nikt nie podnosi słuchawki.

Popatrzył na Rista.

— Odzyskasz go z powrotem, Risto. Potem

Zastanawiała się, patrząc na protezy chłopca.

— Napiszesz wypracowanie w domu. Przy-  
niesiesz mi je jutro. No, wszystko jest jasne.  
Możesz iść.

Matka siedziała przy maszynie do szycia. Na  
krześle leżał stos uszytych spodni.

— Gdzie Rex?

— Na podwórzu. Wypuściłam go, aby po-  
czekał na ciebie. Upominał się, żeby go wypuścić.

Maszyna do szycia zaczęła terkotać. Risto  
podniósł głos:

— Nie uwiązałaś go?

Maszyna zatrzymała się. W głosie chłopca  
wyczuwało się strach.

— Nie! Przyzwyczaił się już do nas.

Risto wrócił na zewnętrzne schody i zawołał.  
Matka przerwała szycie, wyszła także na schody  
i zaczęła wołać.

— Popatrz! Wybiegł z podwórza. Rex! Rex!  
Do domu! Risto wrócił.

Matka wyszła na ulicę.

— Obejdę naszą dzielnicę. Jednocześnie  
pójdę do sklepu. Wracając, przyprowadzę  
Rexa.

Po półgodzinie matka wróciła.

— Nie widziałam. Może wyruszył na małą  
wyprawę. Wiosna burzy krew. Pewnie zatę-  
sknił za towarzystwem suczki.

Zobaczyła rzuconą na stół kartkę z upo-  
mnieniem. Przeczytała.

— Dlaczego nie napisałeś?

— Dlatego, że nie.

— O czym trzeba było napisać?

oczy. Trzeba napisać tak delikatnie, tak ciepło. Trzeba opowiedzieć, co jest między mną i Rexem. O wszystkim. O tym psie, który rozumie, co się do niego mówi, któremu można zawierzyć swoje tajemnice. O psie, który pociesza, dodaje otuchy i śmieje się.

Wiem, o czym należałoby pisać, ale nie mogę. To nie byłoby w porządku, gdybym opowiedział wszystko, co jest między mną a Re-xem. Rex jest taki porządny.

Pies jest zwierzęciem. Pies jest przyjacielem człowieka.

Gdyby ludzie wiedzieli, czym jest pies. Gdyby uświadomili sobie, co znaczy taki przyjaciel. Tego nie można napisać zwykłymi słowami. Ani zwykłym ołówkiem. Trzeba by mieć złote pióro, a w nim złoty atrament.

Lekcja skończyła się, zbierano wypracowania.

— Risto zostanie w klasie.

Głos nauczycielki był rzeczowy, nieco ostry. Położyła przed Ristem jego pusty zeszyt do wypracowań.

— Dlaczego nic nie napisałeś?

Risto milczał.

— Czy nie podobał ci się temat?

Risto utkwiał wzrok w podłogę, nie odpowiadał. Nauczycielka nie zrozumiałaby go nigdy w życiu. A on nie potrafiłby opowiedzieć tego, co myśli. Nauczycielka roześmiałaby się, gdyby powiedział. Najpierw by się śmiała, a później byłaby zła.

Nauczycielka zirytowała się.

— Otrzymasz upomnienie. Nie chcesz się dostosować do porządku szkolnego.



Później Risto zastygł tak samo nieruchomo jak Rex i patrzył ponad Mustim. Musti próbował bezskutecznie szczeakać, wreszcie zrezygnował, przeczołgał się pod płotem na własne podwórze. Stamtąd ujadał, ujadał, szczeakał, choć był już u kresu wytrzymałości.

Dzięki Rexowi zmieniła się również szkoła. Risto nauczył się, jak postępować wobec bałwanów, a w szkole pełno było skończonych bałwanów, którzy mieli w ustach pełno żądających słów. Słów czarnych, ostrych jak czubek noża.

Risto opowiadał Rexowi:

— Dziś jeden taki bałwan przezywał mnie Ristem-Kuternogą. Odszczeknąłem mu się: Twoja matka i ojciec byli kuternogami, skoro zrobili takiego skończonego bałwana. Chodź, zbliź się do tych łap, gówniarzu. Zbliź się, jeśli masz dość odwagi. Nie zbliżył się. Co myślisz o tym, Rex? Co byś zrobił, gdybyś był w moich spodniach?

Pies patrzył na niego swymi wiernymi, brązowymi oczami.

— Poszedłbyś za nim i nagadał, ile wlezie? Widzisz, ja nie mogę. Wiesz przecież, że nie mogę. Ci gówniarze warczą na mnie i do kuczają mi, gdy nie widać nauczyciela. Są tam, owszem, również porządni chłopcy. Im podałyś łapę. Ale jest ich mało. Dlaczego wszyscy nie są porządni? Czy ty wiesz, Rex? Kiedy jeden komar ukąsi, drugi zaczyna na tychmiast kąsać razem z nim. Ale my obaj śpiewamy tę samą piosenkę.

Risto gryzł czubek ołówka. Pies — towarzysz człowieka. Brązowe, mądre, wierne

cowanie klasowe o psie. Risto gryzł czubek ołówka, nie wiedział, od czego zacząć. Na czystym papierze widział przed sobą brązowe oczy Rexa. Oczy żyły, patrzyły poważnie. Od tej pory, gdy w domu zjawił się Rex, wszystko się zmieniło. Było tak dużo rzeczy, o których należałoby napisać. Nie wiedział, od czego zacząć.

Już następnego dnia po zjawieniu się Rexa zdarzyło się coś niezwykłego. Musti sąsiada zobaczył go, kiedy był z Rexem na podwórzu. Oczywiście, Musti najpierw czekał. Później jednak zorientował się, że Risto i Rex są ze sobą ściśle związani. Był tak zaskoczony, że siedział tylko z wybałuszonymi oczami, całkiem cicho. Następnie przeczołgał się pod płotem w odwiedziny. Kiedyś wykopał sobie to przejście. Kroczył, machał ogonem, umizgał się, potem zaczął obwąchiwać Rexa.

— Miej się na baczności, Rex! To zawadzia-  
ka. Naucz go moresu! <

Ale Rex był Rexem. Patrzył prosto przed siebie, ponad Mustim. Musti był dla niego powietrzem. Kiedy Musti zaczął go obwąchiwać, Rex ostrzegł go cichym, stłumionym, warknięciem, krótkim, ostrym warknięciem jednym kątem pyska. Rety, zupełnie jakby się śmiał. Musti przeraził się tak bardzo, że wyrzucił koziółka, po czym czmychnął. Zatrzymał się dopiero w odległości dziesięciu metrów i znów zamachał ogonem. Jego oczy spoglądały przyjaźnie.

— Teraz może polizałbyś ślady swoich pa-  
zurów na mojej protezie — zaproponował  
Risto.

Rexowi urządzono posłanie na podłodze obok łóżka Rista. W ciemnościach chłopiec pomacał lekko futro. Leżał tam. Wszystko to było prawdą. Gdy Risto zamknął oczy, zobaczył wielkie litery R E X. To było czarodziejskie słowo, słowo tęczowe.

Matka i ojciec czuwali także dłużej niż zwykle. Dzień był taki niezwykły, wręcz trudno było to pojąć.

— Ta kobieta była w żałobie, a mężczyzna miał opaskę z krepy.

— Ich dziecko dostało się pod samochód — rzekł ojciec. — Przypominam sobie, że czytałem w gazecie. To samo nazwisko.

— Dziewczynka czy chłopiec?

— Dziewczynka. Zrozumiałem, że to wpłynęło na ich decyzję, ale uważałem, że mimo to należy jasno postawić sprawę ceny. Nie lubię jałmużny.

Risto nucił cicho przed zaśnięciem:

*Na świecie nie ma  
już brzydkich słów.  
Są tylko  
czerwone  
niebieskie  
białe  
żółte  
kolorowe słowa.*

## Pies jest przyjacielem człowieka

Słońce przygrzewało mocno, w klasie było duszno. Pies jest zwierzęciem. Pies jest przyjacielem człowieka. Należało napisać wypra-

uwięzi. Przyzwyczai się do nowych warunków, bo jest jeszcze młody.

Wyjął z kieszeni arkusz papieru i położył go na stole.

— Tu jest jego metryka.

Następnie przemówił do psa rozkazująco, ale serdecznie:

— Rex, to jest twój nowy dom. Ten chłó piec jest twoim nowym panem. Żegnaj, Rex!

Pies płakał, ale siedział posłusznie na miejscu, obok Rista.

— Nie płacz, Rex — powiedział Risto i położył rękę na szyi psa. — Będziemy przyjaćciółmi.

Matka krzątała się, uszczęśliwiona, koło płyty kuchennej.

— Jak to się wszystko mogło stać — rzekła. — Wierzyć się wprost nie chce, że to prawda. Ale co cię skłoniło wyciągnąć ostatnie marki i położyć przed nim na stół? Oddałby przecież psa za jedną markę?

— Ty tego nie zrozumiesz — rzekł zdecydowanie ojciec. — ■ Ten ranek skończył się z honorem, a mogło dojść do godnej pożałowania sytuacji. Zapłaciło się odpowiednią cenę. Psa kupiono, a nie otrzymano w darze.

Risto głaskał Rexa.

— No, jak ci się podoba, że od tej chwili zostaniesz w naszym domu?

Pies patrzył na niego zupełnie tak, jakby rozumiał, patrzył smutny, zgnębiony.

— Nigdzie nie mógłbyś mieć lepszego ode mnie towarzysza, nigdzie — pocieszał Risto.

— Jesteś moim bratem i siostrą, i przyjacielem.

Mężczyźni znów popatrzyli na siebie poważnie mierząc się wzrokiem. Później gość wyciągnął rękę.

— Zgoda! Pies siedzi w samochodzie. Idę po niego.

Risto kołyszając się wyszedł na spotkanie, jak tylko mógł najprędzej, na zewnętrzne schody. Nie wierzył swoim uszom. Darmo, wariat. Teraz nie może odwołać, skoro ojciec zapłacił. A jeśli on nabiera? Jeśli przyniesie innego psa?

— To ten sam pies! — zawołał kołyszając się z powrotem w stronę kuchni. — Ten sam owczarek szkocki.

Zapomniał o obcej kobiecie. Ta się roześmiała:

— Myślałeś, że oszukujemy.

Risto zaczerwienił się, chciał naprawić przykre słowa.

— Pani tak ładnie pachnie — zdobył się na komplement.

— Risto, jesteś bardzo uprzejmym chłopcem — powiedziała kobieta.

Uśmiechnęła się ciepło, serdecznie.

To taka dobra kobieta, że nie może mieć złego psa. Byłoby jej przykro, gdyby miała złego psa — pomyślał Risto.

Mężczyzna wszedł do środka i puścił wolno trzymaną w ręku smycz.

— Rex, idź do chłopca! Siadaj!

Pies posłuchał, spoglądał kolejno to na swego pana, to na swoją panią. Z kącików jego oczu toczyły się łzy.

— Tresowany pies — rzekł mężczyzna. — Niech państwo trzymają go jakiś czas na

Risto przyglądał się jej bacznie. Ona nie szachruje. Mówi zupełnie poważnie. Co ona myśli? I jest elegancka. Cała kuchnia pachnie przyjemnie.

— Jest tu nas więc trzech twardych mężczyzn, którzy mają powziąć decyzję w tej sprawie — powiedział obcy. — Trzech twardych mężczyzn.

— W tym celu przecież odwiedziliśmy państwa dziś rano — powiedział z kolei ojciec, w dalszym ciągu czujny, ale wyraz jego twarzy już złagodniał. — Ta cena nam nie odpowiada. Natomiast pies nam odpowiada. Ale ta cena.

— Tak to jakoś powiedziałem bez zastanowienia — rzekł właściciel psa. — Nie mówmy więcej o cenie.

— Owszem, trzeba o niej mówić — powiedział ojciec. — Nie będę zaciągał długów wdzięczności.

Mężczyźni zmierzyli się wzrokiem.

— Zamierzamy oddać psa do dobrego domu — powiedział spokojnie gość. — Pieniądze nie mają tu znaczenia. A może byśmy tak uzgodnili: w Anglii jest taki zwyczaj, że otrzymujący nieoczekiwany prezent płaci za ten prezent jednego pensa. Może by więc państwo dali markę. Wybraliśmy państwa spośród licznej grupy amatorów.

Ojciec wyciągnął pugilares i na brzegu stołu liczył banknoty, jeden po drugim.

— Nie uznaję tych angielskich zwyczajów — rzekł. — Kładę pieniądze zgodnie z moim sumieniem i rozsądkiem. Więcej nie za płacę, a mniej też nie dam.

mknął przez otwór bez drzwi do małej komórki i stamtąd wrócił do Rista. Chłopiec zdjął protezy i teraz oblał się rumieńcem, jakby go zastano nagiego. Poranne spotkanie obudziło w nim buntowniczą przekorę. Zeskoczył z kanapy na podłogę, aż zagrzmiało, i opierając się na rękach lekko podsunął się do krzesła, schwycił się oparcia i siedzenia i odwrócił się szybko podciągając ciało do góry.

— Chłopak błaznuje — powiedziała matka i przyłożyła Ristowi klapsa. — Zachowywał się dzisiaj zupełnie osobliwie. Normalnie nie bywa taki. Dziś ma pewnie w głowie tego nieszczęsnego psa.

— I właśnie w tej sprawie tu przyszliśmy — powiedział mężczyzna. — Rozważyliśmy to wraz z moją żoną.

— Odsuń się, aby pani mogła usiąść — zwróciła się do Rista matka.

Przybysze usiedli. Ojciec milczał. Patrzył na przybyłych. Jego twarz wydawała się stężać, miał się na baczności i był gotów odparować każde słowo. Tu był jego własny dom, teraz obcy musieli być grzeczni, jeśli nie chcą powędrować za drzwi.

— Co powiesz, Risto? Chcesz mieć tego owczarka szkockiego? — spytała kobieta.

Risto patrzył nieufnie. Później spojrzał na ojca. Wyraz twarzy ojca był twardy, wiązało się to z ceną psa. Risto nie odpowiedział.

— To jest moim zdaniem sprawa mężczyzny — powiedział obcy.

— Ja traktuję Rista jak mężczyznę — powiedziała kobieta i popatrzyła na Rista.

- Taka kobieta. Pies siedział koło jej nóg.  
— Elegancka kobieta?  
— Taka sobie. Tego samego gatunku, co ten kundel. Ty jesteś o wiele bardziej elegancka.  
— Czy ta kobieta coś mówiła?  
— Patrzyła tylko.  
— Na psa!  
— Tak.

Matka usiadła przy maszynie do szycia. Terkot maszyny był monotonicznie równomierny, usypiający. Gdy matka zmieniała materiał, Risto rzekł cicho:

- On miał brązowe oczy.  
— Ach tak, brązowe.

Matka spojrzała przez ramię, Risto przycisnął głowę do poduszki. Jego ramiona dygotały. Matka podniosła się, stanęła przy synu i pogłaskała go po włosach.

— Nie martw się, Risto. Zdobędziemy jeszcze psa dla ciebie.

Ojciec wrócił z pracy, wypił kawę i zaczął czytać gazetę.

— Ten samochód, ten ford — mrucał. — Może by się udało.

— Nie zwracaj tym sobie głowy — rzekła matka". — I tak jest ciężko.

Zapukano do drzwi kuchennych.

— Proszę! — zawołał ojciec i opuścił gazetę.

Przybyszami byli właściciel psa i jego żona.

— Dobry wieczór! — rzekł mężczyzna. Jego wzrok obiegł małą kuchnię, dostrzegł widoczne niedostatki i biedę, po-



Gdy ojciec i Risto wrócili z wyprawy po psa, matka natychmiast się domyśliła, że nic z tego nie wyszło. Ojciec był rozdrażniony, a Risto utkwiał wzrok w ścianie.

— Jakoby za darmo! — powiedział gniewnie ojciec.

Dla Rista zawód był tak wielki, że matka nie miała serca posłać go tego dnia do szkoły.

Urywanymi zdaniem opowiedział wreszcie, co się stało. Właściciel psa pytał o różne rzeczy. Później wymienił cenę, którą on sam zapłacił za psa. Wreszcie zapytał, czy ojciec uważa, że pies jest wart tej ceny.

— Może towar wart jest swej ceny — powiedział sztywno ojciec. — Ale w gazecie było napisane, że oddaje się za darmo do dobrego domu.

— No tak. Do dobrego domu.

Wówczas ojciec rozgniewał się i powiedział, że jeśli opinię dobrego domu można zdobyć tylko pieniędzmi, to do widzenia i amen. Nie należy bujać ludzi, wyciągając ich z pracy, ale dawać uczciwe ogłoszenie do gazety.

— No, no — uspokajał właściciel psa, spytał o adres i w końcu rzekł, że zastanowi się i powróci do sprawy, jeśli będzie to możliwe.

— To nie dla nas.

— Widziałeś tego psa?

— Widziałem.

Głos Rista drżał.

— Taki kudłaty kundel. A zresztą wszystko jedno.

Matka westchnęła.

— Czy byli tam inni ludzie?

Risto patrzył na ojca, przełknął ślinę i nagle jego oczy napęłniły się łzami.

— Nie żartuj. Powiedziałeś kiedyś, że w tym mieszkaniu nie będzie się trzymało psa.

— Owszem, mówiło się to i owo.

Ojciec pstryknął w gazetę.

— Tu ogłaszają, że oddadzą owczarka szkockiego z powodu trudności utrzymania. Oddadzą do dobrego domu — podkreślił.

— A więc nie nam — powiedziała matka.

— Co w tym domu jest złego? Co o tym myślisz, Risto?

— Jeśli tylko oddadzą.

— Pojedziemy zobaczyć. Własnym samochodem. Ale pod jednym warunkiem: zostawisz później w spokoju Mustiego.

— Jasne — mruknął Risto.

— No, ja wezmę parę godzin wolnego w pracy, a ty w szkole — zdecydował ojciec.

Risto długo nie mógł zasnąć, choć zgaszono światło. Było mu ciepło i przyjemnie. Jeśli dadzą tego owczarka, będziemy towarzyszami. Wtedy i ja będę miał kogoś, kto nie będzie się nade mną litował. Ani naigrawał. Będziemy przyjaciółmi i nikt nie odważy się być złośliwym, gdy obok mnie będzie owczarek szkocki.

Rano matka powiedziała, że Risto mówił przez sen.

— Nie dosłyszałam wyraźnie, ale na pewno mówiłeś o tym psie. Nie bierz sobie je szcze tego tak bardzo do serca, bo będą i inni amatorzy na takiego psa.

Znalazła w końcu jodynę i posmarowała nią skórę dookoła ugryzienia.

Ojciec popatrzył na to smarowanie i roześmiał się:

— Dostało ci się, Risto, o co prosiłeś. Zaczynij się tylko kłócić z psami, to awantura gotowa. A czy potrzebna tu jeszcze policja? Poczekajmy może do rana i rozważmy spokojnie. Mam pewien pomysł, ale porozmawiamy o tym później. I jeszcze, jeśli chodzi o tego Mustiego, to jest inteligentniejszy od wielu rasowych psów. Chaplin także powiada, że mieszańce są najinteligentniejsze ze wszystkich psów.

## Rex

Ojciec czytał kolumnę ogłoszeń w gazecie. Przeglądał ją od wielu dni bardzo uważnie. Teraz znalazł coś interesującego.

— Tu byłyby dwa ogłoszenia. Wóz do sprzedania. Taki, który by się nadawał. Pięcioletni ford.

— Skąd pieniądze?

— Jeśli sprzeda się stary i doda się trochę.

— Ten renault mógłby jeszcze wystarczyć — powiedziała matka. — A ta druga sprawa?

Ojciec zerknął na Rista.

— Synu, co z dwóch rzeczy byłoby twoim zdaniem lepsze: nowy samochód czy pies?

— No, pies to co innego niż samochód — wtrąciła się matka. — I kosztuje mniej.

— Pytam o to Rista.

— Ja nie jestem zmęczony.  
— Zlituj się nade mną, skoro jesteś silniejszy.  
— Kobiety to zawsze kobiety — stwierdził pobłaźliwie Risto. — Nie mogą równać się z mężczyznami. Zróbmy więc pół treningowej trasy.

Musti sąsiada pokrzyżował plany. Dokuczał Ristowi od pierwszych dni lata. Szczekał na wszystkich, ale szczególnie interesował go chłopiec, poruszający się w dziwaczny sposób przy pomocy rąk. Risto nienawidził Mustiego.

— Ma złośliwość szczeniaka — powiedział ojciec. — Szczeka na wszystko, co się rusza.

Risto jednak wiedział, że Musti szczeka na niego zajadlej niż na innych. Teraz również biegł drogą obok narciarskiego szlaku i przez cały czas ujadał. Wyglądało zupełnie na to, że chciałby doprowadzić do walki.

— Ugryź! — podżegał Risto. — Ugryź w udo!

Wyciągnął prawe udo bliżej drogi i Musti usiłował ugryźć. Risto uderzył go kijem, ale stracił przy tym równowagę i upadł.

Rozdrażniony do ostateczności, pies wbił zęby w nadgarstek chłopca, puścił i czmychnął podkuliwszy ogon. Przerażona matka zbliżyła się do Rista.

— Stało ci się coś?

— Ja go jeszcze zatłukę — parsknął Risto.

Matka pomogła mu wstać.

— Czy zawiadomimy policję? Muszą za mną Mustiego — stwierdziła matka, gdy wrócili do domu. — Chyba trzeba by zdobyć szczepionkę przeciw wścieklicznie.

— Risto, kochanie, byłam głupia, że ustąpiłam.

— I znów ustąpisz — powiedział Risto. — Jutro znowu trenujemy.

Wyprawy narciarskie przerażały matkę.

— Chłopak męczy się tak, że serce się ścisła. Mam uczucie, że znęcam się nad nim.

Ale ojciec odparł:

— Pozwól chłopcu jeździć na nartach. Wyładuje w ten sposób swoją energię i zapalczywość. Inaczej miałby ochotę kłąć i bić. Lepiej więc, gdy jeździ na nartach.

Matka pomogła Ristowi przymocować protezy.

— Poszedłbyś z chłopcem na trening. Przygotuję przez ten czas herbatę.

— Czuję się jak wyżęta ścierka. Odrabiałem nadgodziny.

— Odpocznijcie więc, staruszkowie — wtrącił się Risto. — Pójdę sam.

— Mimo wszystko różniej jest chyba we dwoje — powiedziała matka. — Zresztą to bardzo przyjemny trening. Spi się po nim smacznie.

Matka musiała zawsze jechać na przedzie. Risto nie znosił też, żeby oglądała się na niego. Matce nie wolno było zerknąć nawet ukradkiem za siebie. Czowała tylko bliskość syna, słysząc jego oddech.

Jeśli przystanąła, czekając, słyszała natychmiast zziązany głos Rista.

— No, jak tam? A może trzeba przetrzeć szlak?

— Czuję się zmęczona — rzekła matka. — Czy nie wystarczy jeden objazd?

## Musti

Świat szary, szkoła szara, wszystko szare, książki także. I chłopcy, którzy biegają. Chłopcy, którzy szukają zaczepki, zachowują się jak chuligani. Gdy ostro się im przeciwstawi, czmychają, uciekają co sił w nogach, ale wszyscy biegną, co sił w nogach.

Risto zamknął z trzaskiem książkę i odsunął na bok. Ja bym nie uciekał. Nie! Zostałbym na miejscu, choćbym miał stracić życie. Obrzydliwe tchórze!

Spojrzał na zegarek.

— Może się już wybierzemy, mamusiu?

Matka krzątała się przy płycie kuchennej, przygotowując wieczorną herbatę.

— No, dobrze! Zrobimy jedną turę, a potem napijemy się herbaty.

— Dwie tury — prosił Risto.

— To byłoby chyba zbyt męczące.

— Jeśli nie dasz rady, pojedę sam.

Risto miał nowe narty. Mocne i wytrzymałe. Nadawałyby się bodaj do skoków. Miał też mocne wiązadła. Ćwiczyli wieczorem, gdy sąsiedzi siedzieli już w domach. Matka przetarła szlak obok drogi dookoła dzielnicy. Risto jechał za nią. Po jednej turze był zmęczony.

— Jest w tym jedna dobra strona — rzekł Risto. — Palce u stóp nie marzną.

Pierwszy trening był zbyt męczący. Risto-wi zakręciło się w głowie, runął na podłogę. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy matka uderzyła go w policzek.

— Jeśli tak dalej pójdzie, skończy się na psychiatrze — odparła cicho matka. — Nigdy przedtem nie mówił takich bzdur.

— Sądzę, że psychiatra przydałby się temu i owemu, choć nie fiknęli takiego koziołka, jak Risto.

Wstał i podszedł do Rista.

— Słuchaj, Risto, wyrzuć z siebie wszystko, co cię w środku dręczy. I powiedz w końcu: do diabła, do pioruna, na litość boską, jeśli ci to ma ulżyć.

— Jak możesz mówić coś podobnego dziecku — zachnęła się matka.

— Jeśli słowa są lekarstwem, to można je przecież stosować bez recepty. Chłopak zresztą ma olej w głowie i wie, gdzie to można mówić, a gdzie nie. A ten boks, w którym mieszkamy, jest wolnym krajem. Tak więc nie ma takiego złego słowa, którego nie można by użyć jako lekarstwa. Przypomnij sobie, ty również sobie pozwalasz, gdy cię poniesie. Nauczyłaś się może ode mnie.

— Ale w ustach dziecka na miejscu byłyby raczej ładne słowa — rzekła matka.

— Słuchaj, jeśli „na litość boską” pomaga więcej niż „Panie Boże”, myślę, jako lekarstwo, to owszem, lepiej jest wtedy powiedzieć-„na litość boską”.

— Dlaczego nie zostałeś doktorem, skoro znasz słowa-lekarstwa? — rzekła matka i roześmiała się.

— A ty, Risto, poradysz sobie w szkole — powiedział ojciec. — Mówię ci, poradysz sobie.

— Czy nauczycielka widziała? — spytała w końcu.

— Widziała. Przyszła potańczyć razem ze mną.

Risto zacisnął mocno usta. Na próżno byłoby pytać go teraz więcej.

Wieczorem matka poszła do nauczycielki.

— Nie należy mu okazywać zbyt wielkiej troskliwości — wyjaśniała matka. — Jego to tak drażni, że zaczyna kłąć. Chce być traktowany tak, jakby nikt wcale tego nie dostrzegał. Chce, żeby go traktowano tak samo, jak wszystkich innych.

— Rozumiem doskonale, ale to tak trudno znaleźć właściwą drogę — powiedziała nauczycielka. — Postaram się jednak zrobić wszystko, co w mojej mocy.

Matka była głęboko przekonana, że nauczycielka chce się naprawdę postarać.

Tegoż wieczoru Risto skomponował bzdurną piosenkę. Leżał w łóżku na plecach, z oczami utkwionymi w sufit, z rękoma pod głową i wołał głośniejszym głosem niż zwykle:

*Nauczycielka się śmieje  
Prawym okiem. W ustach  
cukier, Końskie zęby. Walić,  
walić, walić, Walić w  
morde.*

Ojciec i matka spojrzeli ukradkiem na siebie.

— Szkoła jest ponad jego siły — rzekł ojciec.



Tego dnia nie wyszedł w czasie przerwy na dziedziniec. Nauczycielka, mijając go, gdy wyglądał przez okno na dziedziniec, zatrzymała się przy nim. Risto drgnął, kiedy dłoń oparła się na jego ramieniu. Cały się zjeżył. Jeśli powie teraz coś słodkiego, zaklnie.

— Czy chętnie czytasz, Risto?

Głos był rzeczowy. Taki, jaki mają normalnie ludzie. Risto obejrzał się i popatrzył. Nic ze słodyczy, żadnego współczucia. Nie trzeba było kłąć.

— Sam nie wiem.

— Jeśli chcesz, wyszukam dla ciebie jakąś dobrą książkę. Czy lubisz książki o Indianach?

— Tak sobie...

Głos Rista brzmiał odpychająco. Nauczycielka popatrzyła na niego uważnie i rzekła:

— Jeśli książka nie zainteresuje cię, nie czytaj.

Gdy lekcje się skończyły, matka czekała przed szkołą. Risto rozejrzał się dokoła. Było mu wstyd.

— Nie wsiądę do autobusu — mruknął. — Uważaliby mnie za niemowlaka. Pójdę pieszo. Żeby zobaczyli, że daję sobie radę.

Napięcie, malujące się na twarzy syna, nasunęło matce podejrzenie, że coś się stało.

— Nie przytrafiło ci się nic szczególnego?

— Potańczyłem trochę na schodach.

Matka wstrzymała oddech.

— Tańczyłeś?

— Tak. Z prysiudami.

Oczy matki zapełniły się łzami, ale patrzyła przed siebie i przez jakiś czas milczała.

Gdyby można było walnąć tę babę tak, żeby się przewróciła.

Durna baba! Unosi górną wargę jak koń, pokazuje zęby i rzy.

Risto wyszedł z szeregu i ruszył wspinając się po stopniach. Ktoś może potrącił go nieumyślnie, jeden kij wysliznął się i raptem na schodach znalazł się mały, bezradny chłopiec z rozłożonymi nienaturalnie protezami.

— Stało ci się coś, Risto?

Zatroskany głos nauczycielki nie wzruszył Rista. Było mu wstyd, bezgranicznie wstyd, że nie może dźwignąć się o własnych siłach. Był błady. Biodro bolało, bo stłukło się na kamiennych schodach. Ale najbardziej bolało go to, że wszyscy widzieli. Będą się śmieli i opowiadali w domu: jeden chłopak upadł na schodach, bo nie ma nóg. Do diabła, nie rozplacze się tu przecież. Będzie kłął tak, że pójdzie im w pięty.

Spróbował się dźwignąć, ale z powrotem opadł. Wtedy spojrzął na nauczycielkę twardo, zimno, wściekły:

— Niech mnie pani zabije!

Nauczycielka, nie odezawszy się słowem, schwyciła go pod pachy, podniosła i postawiła na wyższym podeście schodów.

— Teraz sam dasz sobie radę.

Ach, że nie wniosła go do środka! Zaczął uświadamiać sobie, że ona nie jest gorsza od innych.

— Risto może przesiąść się do tylnej ławki.

Tak było łatwiej. Widział przed sobą plecy wszystkich. Gdyby ktoś wybałuszał oczy, on nie jest w zasięgu jego wzroku.

Protezy były gotowe na początek roku szkolnego. Risto chciał wędrować całą drogę z domu do szkoły, dwa kilometry.

— Mamusiu, ja doskonale dam sobie radę. Codziennie ćwiczyłem. Dojdę. Mur! Pójdę sam. Innym też nie towarzyszą nigdy matki.

— Ten jeden raz pójdę z tobą.

— Nie! Pójdę sam.

Matka zdenerwowała się i rozplakała.

— Umówmy się, że odprowadzę cię kawałek i zostawię samego w pobliżu szkoły. Dalej będziesz mógł iść sam.

— Zostawisz mnie tak daleko od szkoły, aby nikt cię nie widział. A nauczycielce nic nie mów.

Matka została, ale patrzyła za odchodzącym synem. Chłopiec podążał do szkoły opierając się na kijach. Nie oglądał się za siebie.

W momencie gdy zabrzmiał dzwonek, Risto znalazł się w grupie wraz z innymi.

— Dlaczego masz takie kije? — dopytywali się stojący obok chłopcy.

— Dla zabawy.

— Czy masz protezy?

— Nie, jestem czworonogiem.

Nauczycielka popsowała wszystko. Popatrzyła na uczniów stojących w szeregu i rzekła:

— Risto nie musi stać tutaj razem z innymi.

Risto zacisnął zęby. Tu nie można kłuć. Nie można powiedzieć nauczycielce tego, co by się chciało powiedzieć. Nie można nic zrobić.

— Dzieci, bądźcie serdeczne dla Rista. On nie ma nóg.

# II

## Durna baba

Risto oblał się rumieńcem. Wszyscy patrzyli na niego. Wszyscy. Jaskrawy rumieniec oblał mu twarz aż po szyję, małe krople potu wystąpiły na czoło. Nauczycielka wyrwała go do odpowiedzi. Usiłował dźwignąć się i stanąć prosto, ale protezy ciążyły jak kule ołowiane i podniesienie się z ławki wypadło niezręcznie: Risto nie przywykł jeszcze, jak należy, do nowych protez. Nie udawało mu się nawet stać bez opierania.

— Risto może zostać w klasie albo w halu, gdy skończy się lekcja, jeśli nie chce wyjść na dziedziniec.

Risto może zrobić to, Risto może zrobić tamto, Risto może..... Ach, na litość boską! Czy ona nie rozumie, że ja nie chcę niczego, co odróżnia mnie od innych? Dlaczego jej głos zmienia się, gdy mówi do mnie? Czy cała klasa musi wiedzieć, co ja mogę, a czego nie mogę.

— Chłopcy, uważajcie, żeby żaden z was nie potracił Rista — dodała jeszcze nauczycielka. — Może upaść i skaleczyć się.

Słowa bolały jak ukąszenie jadowitego węża.

można zapytać chłopca ze starego samochodu, kiedy zacznie prowadzić samochód: Gdy można o to zapytać, choć wie się, że chłopiec nigdy nie będzie prowadził.

Instynkt podszeptał Ristowi, że mężczyzna wszystko zauważył. Ojciec dostrzegł przygnębianie Rista i powiedział:

— A może byś wymyślił piosenkę, ażeby nie zapomnieć o tym podnośniku.

Risto spróbował. Melodia i słowa rodziły się ze szmeru samochodu. Gdy byli w połowie drogi, śpiewali wraz z ojcem:

*Jest renault,  
jest podnośnik  
i ojciec za kierownicą.  
i benzyna w zbiorniku.  
Jest chłopiec,  
jest matka*

Teraz samochód przypominał grającą szafę. Ojciec miał wspaniały głos i dobry słuch. Matka i Risto towarzyszyli mu; głos matki raził ucho, a i głos Rista był ostry.

Ale dzięki tej piosence nigdy nie zapomniano o podnośniku.

nadszedł natychmiast, gdy ojciec zatrafił. Czekał przed barem.

— No i jakże? Udało się? — spytał. — A ty kiedy zaczniesz prowadzić wóz?

— To jeszcze mały chłopiec — rzekł ojciec. — Zdąży, gdy nadejdzie pora.

— Bo wyglądasz na takiego dużego — powiedział serdecznie mężczyzna.

Dalsza droga do domu upłynęła w miłym nastroju.

— Jesteśmy biedni jak mysz kościelna, ale mamy przynajmniej samochód — powiedziała matka. — Ma się całkiem wrażenie, jakby się coś posiadało, choć w gruncie rzeczy nie posiada się niczego,

— Matka filozofuje — rzekł ojciec, ale w jego głosie wyczuwało się ciepły ton.

Byłoby przecież dziwne, że robotnik nie potrafi wyremontować starego samochodu-gra-ta. Nie warto więc z tego powodu zadzierać nosa. To narzędzie pracy. Narzędzie pracy Rista. Nogi Rista. Gdyby Risto zachował nogi, my moglibyśmy wędrować piechotą choćby do końca życia.

Risto śnił z otwartymi oczami. Siedzi za kierownicą wielkiego samochodu wiozącego z wyciem dwieście opon. Na poboczu drogi stoi mały renault, a koło niego mężczyzna, który macha ręką... Risto hamuje, zatrzymuje się koło mężczyzny, wysiada z samochodu i pyta uprzejmie:

— Czy nie potrzebna pomoc?

Przyjemnie jest, gdy można pomóc innym, którzy mają stary, strajkujący samochód. Gdy

Szukał narzędzi i denerwował się nie znajdując ich.

— Gdzie do diabła zostawiłem te narzędzia?

Nadjechał duży samochód osobowy i zatrzymał się obok.

— Czy nie potrzebują państwo pomocy?

— Docieram trochę samochód — odparł ojciec. — Niedawno go kupiliśmy. Z tylnej opony zeszło powietrze. W pośpiechu zostawiłem narzędzia w domu. Czy nie ma pan podnośnika, aby można było założyć zapasowe koło?

— Owszem, zaraz się znajdzie.

Mężczyzna spojrział na zegarek.

— Zostawię go państwu. Muszę zdążyć na pocztę, cztery kilometry, a wkrótce już pięta. Zostawię samochód przed sklepem. Niech państwo zatrąbią, gdy przyjadą na miejsce.

Mężczyzna mówił jak do starych znajomych. Gdy odjechał, matka powiedziała:

— Że też nam zaufał.

Ojciec obracał podnośnik w rękę i rzekł:

— Tak, samochodziarze pomagają sobie na wzajem. A zresztą mamy numer rejestracyjny. To stanowi w razie potrzeby gwarancję.

Risto wyjrzał przez boczne okno.

— To sympatyczny człowiek. Mnie także pozdrowił.

Niebawem zapasowe koło zostało założone i znów ruszyli w drogę.

— Uważajcie, przed którym sklepem zatrzymał się samochód. Ja nie mogę patrzeć na boki — powiedział ojciec.

Matka dostrzegła samochód.

Mężczyzna

— Osiągnął chyba swój życiowy rekord w skoku w dal. Na Boga, skoczył jak zając.

To ich rozśmieszyło.

— Samochód to wielki atut — powiedziała matka. — Wyprzedza się nim i otwiera sobie drogę.

Gdy dotarli na skraj własnej dzielnicy, Risto zaczął się rozglądać dokoła. Wyprostował plecy. Chyba ludzie zobaczyli, że mamy własny samochód. Tak, patrzą. Ten patrzy. I tamten. I tamten.

To przyjemnie. Widzą samochód i myślą: oni mają samochód. Jadą w nim ojciec i matka, i syn. Pojadą do baru. Będą pili kawę. Ale raz po raz będą patrzyli, żeby nikt nie ukradł samochodu, bo kradną je tak często.

Na szosę! Za miasto!

— Nie pozwól, tatusiu, żeby ktokolwiek nas wyprzedził!

Na twarzy ojca malowało się podniecenie, niemniej lekko się uśmiechnął.

— To przecież nie samolot. Jeśli ciągnie sześćdziesiątkę, to już dobrze.

W drodze powrotnej z tylnego koła zeszło powietrze, zeszło jak westchnienie i samochód przechylił się na bok.

— Łysa opona! — powiedziała matka.

— Cicho — mruknął ojciec. — Zapłaciłem za nią tyle, ile jest warta.

Risto wyrzął przez okno.

— Trzeba będzie jechać na stację obsługi. Napompują koło.

— Tu niepotrzebna stacja obsługi — rzekł ojciec. — Sam poradzę. Założę zapasowe koło.



— No, do diabła — zaklął ojciec.

— My będziemy z początku pchali — wołali chłopcy sąsiadów. — Byle tylko zaskoczył, to pojedzie.

Ojciec nacisnął klakson. Droga wolna. Uciekajcie, smarkacze! Samochód nagle skoczył, jakby chciał wzlecieć. Zakręt udał się elegancko.

Chłopcy zostali w tyle. Risto obejrzał się. Byli całkiem zieloni ze złości, że ich nie zabrano. Niech cierpią, ja także cierpiałem, że inni mają nogi. Niech jeżdżą na hulajnogach. I na rowerach. My siedzimy we własnym samochodzie i hajda. Benzyna nas ciągnie.

Co do diabła? Oni próbują się ścigać z nami. Ten pcha się obok na hulajnodze. A tamten na rowerze niemal nas wyprzedza.

— Dodaj gazu, tatusiu! — powiedział

Risto.

Ojciec znów nacisnął klakson i jego ostry głos przegnał ścigającego na bok drogi.

Risto nie raczył nawet spojrzeć na pokonanego.

— Gówniarz! Myśli, że może się mierzyć z samochodem.

— Nie bądź taki zarozumiały, Risto!

— To po co się pcha pod samochód?

— Ci rowerzyści i piesi są zawsze utrapieniem dla kierowców samochodowych — powiedziała matka.

Ojciec bacznie patrzył na drogę.

— Spójrzcie na tego wariata!

Klakson samochodu przestraszył idącego jezdnią wolnym spacerkiem mężczyznę i skłonił go do ucieczki.

i zaczął gwizdać. Słowa i melodia unosiły się w małej izdebce i kuchni.

*Matka naciska maszynę.  
Ojciec ciągle się męczy.  
Matka mówi: do diabła.  
Osa brzęczy. Chłopiec  
wszystko słyszy.*

— Ułożysz później lepszą piosenkę, gdy renault pomknie po szosie, że tylko kurz będzie się kłębił. Teraz nie potrafię znaleźć dla twojej piosenki dobrej melodii.

## Renault

Risto siedział na przednim siedzeniu obok ojca, matka na tylnym. Samochód zakasłał wiele razy, zanim raczył pojechać spokojnie. Ojciec mruknął coś o blaszanym pudle, którego duch się buntuje.

Najpierw objazd dookoła własnej dzielnicy.

Czy moi koledzy widzą? Czy widzą, że siedzę tu obok ojca, we własnym samochodzie? Tak, właśnie idą. To fajnie, zobaczą mnie.

Grupa rzeczoznawców, małych kumpli, zebrała się przed bramą koło samochodu.

— Jakiej marki?

— Renault. Czy nie widzisz?

— Elegancko pomalowany, no nie?

— Nasz samochód jest inny. To wołga. Fajnie się nim jeździ.

— Tym też można jeździć.

Risto słuchał. Samochód zakasłał.

ustannie o nieszczęściu Rista, jakby chciał o nim zapomnieć, pochłonięty dłubaniną przy samochodzie. Ale mordując się przy samochodzie, myślał właśnie o tym.

— Że też musiało się to stać! Wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby Risto miał nogi. Bo teraz nie wiadomo, jaki znaleźć dla niego zawód.

Matka zerknęła przez ramię na syna i zobaczyła, że leży na kanapie i przegląda ilustrowane czasopismo...

— Do diabła, że też naszemu synowi musiało się to przytrafić...

— Mamusiu, czemu przeklinasz?

Terkot maszyny ucichł i matka popatrzyła na Rista.

— Klęłam? Na pewno nie.

— Mam przecież uszy.

W głosie chłopca brzmiała gorycz, zupełnie jakby instynktownie domyślał się czegoś szczególnie dotkliwego.

— Może więc. Myślałam o czymś przykrym.

— O czym przykrym?

— Że tego samochodu-grata nie uda się doprowadzić do porządku i że ty nie będziesz nim mógł jeździć.

Risto zaklął również. Ojciec pozwolił mu kląć, gdy będzie się czuł podle.

— Ja również klnę z tego samego powodu — rzekł, a wyraz jego oczu był twardy.

Instynkt powiedział mu, że matka nie mówiła prawdy, nie przyznała się, o czym myślała.

Risto wziął czerwonego glinianego kogutka

— Prawie. Dostanę je w tym samym czasie, kiedy to. zacznie się ruszać.

Stary samochód miał nieprawdopodobny apetyt. Pożerał wszystko, co zostało z wydatków na komorne i jedzenie. Matka wzięła pracę. Była krawcową biorącą robotę konfekcyjną. Szyla skrojone spodnie, bluzki, koszule, wszelką odzież. Pracowała poprzednio w fabryce odzieży i zdobyte tam umiejętności przydawały się, gdy ojciec tracił pracę z powodu choroby bądź innych przyczyn.

Gdy Risto wrócił ze szpitala, opieka nad nim wypełniała matce tak całkowicie czas, że maszyna do szycia stała bezczynnie. Teraz garbate, wybrzuszone, blaszane pudło, o którym Risto mówił z dumą „nasz samochód”, zażądało, żeby wysunięto znowu spod ściany maszynę do szycia. Stary samochód naruszył budżet rodzinny, ale miał duże znaczenie dla Rista i dlatego maszyna do szycia terkotała od rana do wieczora. Robocze spodnie, bluzy. Dawało to trochę pieniędzy, a wszystkie zabierał samochód-grat. Oczywiście zarobione marki można było zużyć na co innego: na protezy dla Rista — myślała matka. Z nóg wzięto już miarę: z przodu i z tyłu, jak przy spodniach miarowych. Może jednak należy poczekać, aż chłopiec urośnie? Ale kiedy ten biedaczek chciałby mieć protezy już teraz. Czy błyszczały mu tak osobliwie, że chciałoby mu się dać wszystko, co tylko można było dać. Zresztą nie domagał się przecież cudów. A i ojciec mordował się z samochodem, jakby nie miał już siły myśleć bez-

— Chodź zobaczyć!

Mały samochód był wybruszony i stary.

— Renault — rzekł Risto. — Czy można nim jeździć?

— Nie! Jeszcze nie! Naprawię go jednak, aby można było nim jeździć.

— Ale nie ponad sześćdziesiątkę.

Risto wolno, wolniutko krążył dookoła samochodu.

— Wystarczy i mniej. Na początek.

— No, tak.

Gdy Risto obejrzał z wierzchu samochód, otworzył drzwiczki i usiadł na siedzeniu. Zamknął drzwiczki i położył ręce na kierownicy.

— Można by myśleć, że kieruję. Może ktoś zobaczy.

Ojciec uśmiechnął się ukradkiem.

— Gdy będziesz siedział obok mnie, ludzie będą wiedzieli, że jesteś we własnym wozie.

Przez dwa tygodnie ojciec pracował zawzięcie przy samochodzie, czasem pod nim, czasem wewnątrz. Zaczynał natychmiast, gdy tylko wrócił z pracy.

— Stary grat. Wszystko w nim wymaga remontu — złościł się.

Risto przyglądał się z podziwem i zdumieniem.

— To będzie dobry samochód. Ty potrafiśz wszystko, do czego się tylko zabierzesz.

Wyraz twarzy ojca złagodniał.

— Owszem, z tego coś wyjdzie. Nie wątpię ani chwili. Ale wymaga to pieniędzy i cierpliwości.

— Masz już prawo jazdy?

niebieskie, żółte i zielone słowa. Są takie, w których są wszystkie barwy: tęczowe słowa.

Gdy nauczycielka przyszła po raz ostatni, Risto wsunął jej w rękę kartkę. Chciał jej dać prezent i dał to, co miał.

*Niebieskie oczy,  
Sive włosy, Na  
ustach śmiech. Kto  
to?  
Rozumie chłopca,  
Kalekiego chłopca,  
Chłopca, który nie  
ma nóg.*

Siwowłosa uśmiechnęła się ze łzami w oczach.

— Lepszego prezentu nie mogłabym dostać — rzekła. — Ja również chcę dać ci drobny prezent na pamiątkę. Byłeś tak dobrym uczniem, że daję ci książkę, proszę! Dzięki książkom otworzy się przed tobą cudowny świat.

Książka stała się dla Rista zwinną łodzią, na której wyruszył w podróż dookoła świata. Uskrzydliła myśl, otworzyła furtkę ku nowym światom.

### Chłopiec słyszy wszystko

Pewnego wieczoru Risto zobaczył przez okno, jak ciężarówka przyholowała na podwórze mały samochód osobowy. Ojciec wysiadł z samochodu osobowego i zauważył Rista.

A ja odpowiadam:

— Po prostu radzę sobie.

A potem jest Siwowłosa, której zdaniem przyjemnie jest uczyć, gdy nie pracuje się już w szkole. Z nią jest miło. Opowiada fantastycznie i nigdy nie pyta o nogi.

Risto uczył się, Siwowłosa była z niego zadowolona.

Kierownik szkoły powiedział, że Risto dostanie się na jesieni od razu do następnej klasy.

— On uczy się na pewno tak samo jak inni — powiedziała Siwowłosa. — Ręczę za niego.

— Obiecałeś przecież, że od jesieni pójdziesz do szkoły.

Tysiącnogi dom w dalszym ciągu napawał lękiem. Był wielki, pełen oczu.

— Umiesz czytać równie dobrze jak inni. I rachunki idą ci dobrze. I geografia. I jesteś mocny. Kiedy ściskasz rękę, można by mniemać, że to dorosły, silny mężczyzna. Przyrzekasz?

— Dobra! Niech będzie!

— Mur?

— Mur.

Przybili ręką.

— Teraz ty rozdziel, Risto! Risto rozdzielił ręce drugą dłonią.

— Wierzę w ciebie, Risto. Rzetelny chłopiec nigdy nie łamie danego słowa.

Rzetelny chłopiec!

Są słowa, w których brzmi melodia. Są czarne słowa. Są białe słowa. Są czerwone,

— Oni nie są już moimi kolegami. Nie wejść!  
— Spróbujmy może na początek zorganizować coś innego — rzekł ojciec.

Nauczycielka, która przeszła na emeryturę, zgodziła się dawać prywatne lekcje. Risto nazywał ją w duchu Siwowłosa.

— Do Bożego Narodzenia — obiecała. —  
Owszem, nauczymy się tyle, co inni.

Z początku Risto trzymał się na baczności jak mysz. W jego pojęciu Siwowłosa była mruczącym kotem, który obwąchuje mysz. Jej nozdrza raz po raz drgały, na brodzie sterczały siwe włosy jak u kota. Wkrótce jednak Risto zauważył, że spojrzenie ma ciepłe, a głos cichy, spokojny.

— Uczysz się bardzo prędko — powiedziała Siwowłosa i popatrzyła Ristowi w oczy.

Ona ma przecież oczy psa, tak, owczarka szkockiego, który nie gryzie.

— Z przyjemnością cię uczę, Risto. Może dostaniesz się od razu do następnej klasy, jeśli będziesz miał dość wytrwałości. Wierzę, że ją masz.

Są staruszki, które patrzą długo i mówią:

— Pewnie ciężko ci, biedaku, że przytrafiło ci się coś tak strasznego?

■ I niemal szlochają, a ja mówię:

— Czy panie nie widziały przedtem bez nogich?

Są ciotki, które mówią:

— Jak sobie dajesz radę?

I śmieją się, i nie patrzą na nogi, i nie pytają o nic więcej.



— Risto, to o tobie mowa — powiedział z dumą ojciec i opuścił syna na ziemię. — Idź odebrać nagrodę.

To zdarzenie było ukoronowaniem pięknego lata. Teraz czekała jesień i szkoła.

## Tysięcni dom

Szkoła to duży dom, a w nim jest tysiąc oczu i tysiąc rąk, i tysiąc nóg... To tysięcni dom... Nauczycielka wydaje się też taka duża, jest dorosła i zawsze ma słuszość. Dostrzega wszystko, dostrzega tego, który nie ma nóg.

— Dlaczego nie masz nóg? — pyta.

— Ajaj, dlaczego nie słuchałeś ojca i matki? Dlaczego wybiegłeś na tory? Tak to właśnie bywa, gdy jest się nieposłusznym, gdy nie słucha się ojca i matki.

Tysięcni dom napawa lękiem, polyka chłopców i dziewczynki przez drzwi. To dom przymusowego pobytu. Gdy chłopiec, który nie ma nóg, przychodzi na dziedziniec szkolny, dom polyka i jego, wpycha w gromadę pozostałych i mówi:

— Biegnij, biegnij, śpiesz się!

Risto powziął decyzję:

— Nie wejdę! Wszyscy wybałuszają na mnie oczy.

— Przypomnij sobie zawody podciągania się na drągu. Tam przecież było także dużo ludzi. A ponadto w szkole są twoi koledzy.

pozór bez trudu, broda wciąż podnosiła się wysoko nad drągiem.

Dwadzieścia razy.

Risto pocił się. Pot spływał obficie na szerokie dłonie, które ścisnęły żelazny drąg niczym klamry.

— Mogę jeszcze... I jeszcze. Mogę...

Dwadzieścia trzy... Dwadzieścia cztery.

Publiczność zaczęła wiwatować.

— Brawo, Risto! Brawo!

Nogi zdawały się ciężkie jak ołów. Nogi, tak, nogi. Jak straszliwie ciężą.

Okrzyki zachęty zdawały się domagać więcej...

Jak straszliwie dużo ważą nogi! Nogi, których nie ma. Jak dużo one ważą, choć ich nie ma! Ręce rozluźniły się, ale ojciec schwytał Rista w powietrzu.

— Walczyłeś jak mężczyzna — usłyszał Risto. To były słowa ojca, słowa pełne uznania.

Risto leżał na rękach ojca, omdlały, z zamkniętymi oczami. Jak to dobrze, że nie trzeba już podciągać brody i czuć wlepionych w siebie setek oczu.

— Nie przejmuj się, choć nie zwyciężyłeś. Jeszcze kiedyś zwyciężysz.

Głos ojca był ciepły, dobry. Risto nie miał ochoty otwierać oczu. Spiker ogłaszał:

— Trzech najlepszych zawodników wzywa się do odebrania nagród. Dodatkową nagrodę postanowiono przyznać chłopcu, który wykazał wytrwałość godną Fina. Chłopcu, który na swój sposób był najlepszym z zawodników.

— Ostatni zawodnik — oznajmił spiker.

Risto zatrzymał się pod drągiem. Słyszał wyrazy uznania, nie uświadamiając sobie, że są przeznaczone dla niego. Spojrzał w górę ku drągowi. Był zbyt wysoko. Po gładkim palu nie wdrapie się na górę. Nigdy w życiu. Wiedział.

Dlaczego nikt nie przychodzi z pomocą?

Spiker zauważył kłopotliwą sytuację Rista i podsadził chłopca. Risto chwycił drąg, podciągnął się w górę.

Dlaczego wszyscy krzyczą? Kogo dopingują?

— Brawo, Risto! Daj im wszystkim po nosie!

Czy to głos ojca? Czy on wierzy, że zwyciężę? Wszyscy z pewnością w to wierzą. Inaczej by nie krzyczeli.

— Czy mogę dostać coś do posmarowania? Dłonie lepiej się trzymają, gdy się je po smaruje.

Risto rozejrzał się wkoło, wciągnął powietrze. Setki oczu wpatrywało się w niego. Pokażę im. Możliwe, że moja fotografia ukaże się w gazecie. Wielka fotografia. Fotografia zwycięzcy.

Wzmocnił uchwyt dłoni.

Pokonam wszystkich, wszystkich, którzy mają nogi.

Piętnaście razy.

Kibice umilkli.

Mały, kaleki chłopiec wyglądał jak złamana wskazówka zegara, gdy patrzyło się na niego z daleka. Niepozorna, budząca litość figurka. Ręce wciąż zginały się i opadały na

— Zgłosiłem twoje nazwisko — powiedział ojciec. — Czy chcesz iść pierwszy?

— Pójdę ostatni.

— Jeśli" przegrasz, przegrywaj jak mężczyzna.

Risto klasnął w ręce.

— Te łopaty dadzą radę.

Silny, rosły młody człowiek podciągał się na drągu niczym sprężynowa lalka. Jego mała siostrzyczka stała nie opodal i liczyła, pomagając sobie palcami. Pomyliła się i zaczęła liczyć od nowa. Publiczność się śmiała.

Ojciec zauważył podniecenie Rista.

— Prawdziwy mistrz — rzekł. — Jeden ze zwycięzców.

Próbowano jeszcze wielu, ale wynik rosteo młodzieńca był najlepszy. Spiker rozejrzał się dokoła.

— Czy są jeszcze chętni?

Jego wzrok szukał kogoś. Ojciec popatrzył na Rista.

— Mężczyzna nie cofa swego słowa — powiedział cicho. — Jeśli nie nauczysz się przegrywać, nie nauczysz się wygrywać w uczciwy sposób.

— Nie umiera się przecież od tego — rzekł Risto. — A gdyby się nawet umarło, to miałyby się wszystko za sobą.

Risto ruszył we właściwy sobie sposób na miejsce zawodów. Przemykał na poziomie rąbków spódnic, obok szeregu nóg. Zatrzymał się koło spikera.

Na widowni zaszumiało. Ktoś klasnął w ręce i niebawem wszyscy zaczęli klaskać.

- Jestem tak samo dobry jak inni.
- Nie w pełni — odparł ostrożnie ojciec.
- Czy nie można by zorganizować zawodów w podciąganiu się na drążku?

Ojciec zastanawiał się chwilę. W jego oczach pojawił się ten sam wyraz, co wówczas, gdy zdecydował się zdobyć dla Rista protezy i samochód.

- Nie najem się wstydu, jeśli się spytam.

Ojciec podniósł się i podszedł do organizatorów, mówił długo, gestykulował, tłumaczył.

- Zgadzą się — oznajmił, wróciwszy. — Podciąganie się na drążku zorganizują jako konkurencję dodatkową. Rozdzielą także na grody.

Ojciec przycisnął bezwiednie pugilares w tylnej kieszeni spodni. Kieszeń była otwarta. Zapiął ją na guzik. Matka zauważyła ruch ręki. Sprawiała wrażenie smutnej.

- Czy jest sens włączać się do grona zdrowych i silnych?

— Pokażę im — powiedział cicho Risto. — Biegać potrafi byle kiep. Ale niech przyjdą i podciągają się na drążku.

Gdy zawody zbliżały się do końca, rozległo się w głośnieku:

— Jako dodatkową konkurencję, organizujemy jemy podciąganie się na drążku. Pierwsza na groda — kilogram karmelków, druga — pół kilograma, trzecia — ćwierć kilograma. Prosi się, żeby zawodnicy stawili się natychmiast na miejscu. Granica wieku — od pięciu do dziewięćdziesięciu lat.

Na widowni rozległy się śmiechy. Mali chłopcy ciągnęli z sobą ojców.

— stwierdziła matka, przyglądając się niezwykłemu pływaniu syna.

— Potrafię jeszcze inne rzeczy... Pokażę...

Chłopiec podciągnął się na żelaznym drągu, wysuwając ponad nim podbródek. Raz, dwa, trzy...

— Dwadzieścia razy — liczyła matka. —\* Ja bym tak nie wytrzymała.

— Ani nawet tatuś. I jego pokonam.

— Nie, doprawdy! Istny stwór wodny.

Wrócili do domu w niedzielę.

—• Co byście powiedzieli, gdybyśmy sobie poświętowali? — spytał ojciec. — Na boisku odbywają się zawody sportowe. Chciałbyś tam iść, Risto?

Risto patrzył w ziemię. Ojciec czekał cierpliwie.

— Dobra! — rzekł w końcu Risto.

Były to towarzyskie zawody międzyklubowe. W zawodach wyznaczano każdemu jakiś program, jakąś konkurencję. Risto entuzjastycznie się i wraz z innymi krzychał na całe gardło. W czasie biegów jednak siedział milcząco. Zastanawiał się.

— Tatusiu, posłuchaj!

Ojciec spojrzał na niego z ukosa. Risto pił lemoniadę przez słomkę.

— No więc?

— Czy dopuszczają do mnie także do zawodów?

— Mówisz poważnie?

— Tak.

— Byłoby to chyba trudne, bo nie zgłosiłeś się zawnazasu.

sposób przerzucał ciało do przodu opierając się na rękach.

Risto wrócił zmęczony.

— No jakże? Dobrze się bawiłeś?

Matka wybiegła w ślad za Ristem, ale trzymała się z dala, niewidoczna dla niego. Spotkawszy gromadę chłopców na skalistej ścieżce, Risto przyłączył się do nich, całkowicie dorównując im w zabawie. Podniecony, wrzeszczał podobnie jak inni chłopcy. Wówczas matka wróciła ukradkiem do domu, stąpając lżejszym krokiem niż poprzednio.

— No, jak się bawiłeś?

Risto mruknął niepewnie. Powoli, powoli matka doszła dłaczego. Indianie z przeciwnego plemienia wzięli Rista do niewoli. Wołali:

— Kangur! Kangur! Wzięliśmy do niewoli kangura!

— Smarkacze! — zirytował się Risto. — Gówniarze.

— Nie przejmuj się — uspokajała matka.

— Musisz wyrobić sobie więcej siły w rękach — powiedział ojciec. — W nich twoja sprawność. Rób rękami to, co inni nogami. Będę z tobą ćwiczyć w czasie urlopu. Na wyspie.

Teraz ojciec miał czas. Codziennie łowili ryby na wędkę i pływali. Risto zagarniał wodę rękami jak parowiec kołowy. Z dnia na dzień przepływał dłuższą trasę.

Było to przemile lato. Nigdy przedtem nie było podobnego. Ojciec miał dużo czasu.

— Z ciebie już prawdziwy stwór wodny

siedzi. — Nie ma się już odwagi spojrzeć na niego. Ciska zaraz kamieniem. Przydałoby mu się porządne lanie, żeby się opamiętał. Gdybym miał podobnego smarkacza, kij byłby w robocie.

Czerwony kogutek gwizdał przez wiele dni i wieczorów dłużej niż zwykle. Stłumiona, nieco monotonna, nieco melancholijna melodia.

*Dlaczego dzieci płaczą?*

*Bo jest im źle.*

*Ja nigdy nie płaczą,*

*nigdy,*

*nigdy.*

### Wszystko pokonam

Matka uszyła Ristowi dla ochrony dolnej części korpusu wielki skórzany futerał. Chłopca wsuwano w ten futerał jak nóż fiński. Ręce stawały się coraz mocniejsze, nabierały silniejszej muskulatury, dłonie poszerzały się. Rękawice zastępowały buty. Siła Rista tkwiła w rękach.

— Przyjdiesz do nas? Będziemy się ba wili w Indian.

Zapraszał jeden z dawnych towarzyszy. Ri-sto popatrzył na chłopca nieufnie. Chłopak mówił poważnie.

— Chętnie!

Niebawem w sąsiednim lasku uganiało się dwóch chłopców. Jeden biegał truchtem. Drugi poruszał się też zwinnie, ale w szczególności



twoje nogi i złamała ci paznokieć u małego palca.

Ludzie pytali w rozmaity sposób. Każde jednak pytanie było jak ostra strzała. Czasem przelatywała obok. Czasem trafiała. Powoli, powoli Risto zaczął nienawidzić pytających.

Pewnego razu, gdy Risto bawił się na podwórzu i lepił śnieżki, jakaś stara kobieta przystanąła koło furtki i przyglądała mu się długo.

— Czy nie jest ci trudno, kochane dziecko?

Risto popatrzył kobiecie prosto w oczy i milczał. Czuł, jak fale gorąca i zimna przepływają kolejno przez jego ciało; wywołała je litość w spojrzeniu kobiety. Staruszka powtórzyła pytanie ciepłym głosem ze łzami w oczach.

— Czy pani nigdy nie widziała beznogich? — spytał Risto.

Później usiłował roześmiać się i schwycił w rękę śnieżną kulę. Kobieta ruszyła. Gdy śnieżka uderzyła ją w plecy, odwróciła się i popatrzyła na Rista smutnie, serdecznie.

— Ty, głupia mordo! — zawołał Risto. — Zostaw ludzi w spokoju!

W stronę kobiety poleciała druga śnieżka. Chłopak stał obok stosu kul, jakby utonął po biodra w śniegu.

Gdy śnieg stopniał, Risto brał zawsze z sobą małe kamyki do rzucania. Skutecznie przepędzały ciekawskich, którzy zadawali pytania.

— Rozpuszczony smarkacz — mówili są-

— Rozmawialiśmy o samochodzie — zauważył ojciec w zamyśleniu. — Co byś powiedział, Risto, gdybyś dostał prawdziwy samochód?

— To byłoby cudowne! Tak cudowne, że nie sposób sobie tego wyobrazić.

— Co jest ważniejsze dla Rista: protezy czy samochód? — spytała matka.

— Jedno i drugie — odparł zdecydowanie ojciec. — I dostanie obie rzeczy. Do diabła, dostanie. To nasz syn.

„To cel mego życia — pomyślał. — To mój zasadniczy cel. Dla niego wytrzyma się niejedno. Najważniejszy jest ten zasadniczy cel”.

Od tej pory inżynier nie miał już powodu, aby przypominać ojcu o wydajności pracy.

Nikt nie przyszedł podziwiać ręcznego wózka Rista. Chłopcy tylko zerkali mijając go.

— Ja w czymś takim nie chciałbym się dzieć.

Dorośli także patrzyli tylko na nogi, których nie było.

— ■ Ach, biedne dziecko! Czy nietrudno ci się poruszać?

— Ja fruвам — odpowiadał Risto.

Ojciec twardo przykazywał:

-\*■ Trzymaj się mocno w garści! Patrz pro<sup>^</sup> sto w oczy i zachowuj się tak, aby dobrze sobie zapamiętali. Oni nie myślą nic złego, ale to bałwany. Jeśli będą się pytać, jak to się stało, powiedz bodaj, że kopnąłeś lokomotywę. Wtedy lokomotywa przewróciła się na

dy były strome i wysokie. Nie można było zjechać po nich bez pomocy.

— Matka będzie wynosić wózek na podwórze, gdy mnie nie będzie w domu.

— Czy nie wyjechalibyśmy na podwórze na próbną jazdę?

Chłopca ponosił zapal.

— Na dworze jest zimno i ciemno — rzekła matka.

— Ale nie dla samochodziarza — powiedział Risto. — Wózek nie ma jeszcze świateł, ale przy próbnej jeździe można się bez nich obejść. Co, tatusiu? Czy nie wyjedziemy na główną drogę?

Matka miała rację, na dworze było chłodno i mroczno. Nikt nie wyszedł, aby popatrzeć na wózek.

— Dobrze idzie — stwierdził ojciec. — Całkiem dobrze. Własny wóz.

— Czy muszę mieć prawo jazdy?

Ojciec roześmiał się:

— Powiesz policjantowi, że masz prawo jazdy.

— Myślisz, że nauczyłbym się prowadzić samochód? Prawdziwy samochód?

— Amerykanie mają samochody, którymi mogą jeździć również ludzie bez nóg.

— Naprawdę?

— Tak.

— Na tym dobrze jest ćwiczyć.

Matka przyszła, aby popatrzeć, jak wózek sprawdza się na ulicy.

— Elegancki pojazd — powiedziała. — No, masz teraz, Risto, coś, co ci się przyda.

raz trzeba było zawracać w kuchni wózkiem w stronę drzwi. Mały pokój mieszkalny był tak zatłoczony meblami — największe z nich było łóżko — że wózek musiał się przedzierać tam i z powrotem między łóżkiem, stołem i krzesłami.

— Jak ci idzie, Risto?

— Ty, tatusiu, potrafisz zrobić wszystko, co ci się tylko spodoba.

Zawarte w tym było podziękowanie, które ojciec wysoko ocenił. Co z tych dwóch spraw miało większe znaczenie: podziękowanie Ri-sta czy też nagana inżyniera? Ojciec był taki milczący, że matka spytała go:

— Czy stało się coś niezwykłego?

— Może trzeba będzie zmienić pracę.

— Powiedzieli ci coś?

— Wystarczająco.

— Czy poszło o to?

Matka spojrzała w stronę wózka.

— O to i o wszystko, co się z tym wiąże. Od strony płyty kuchennej dobiegło wes tchnienie.

— Spróbuj na razie przeczekać. Może nam być jeszcze trudniej.

— Nie zmienię pracy z byle powodu. Ale jeśli będzie tak dalej, to co mi innego pozostanie?

— Naturalnie, jeśli okaże się to konieczne, ale tu chodzi o tyle rzeczy.

— To właśnie rozważam.

Risto zmęczył się jazdą po mieszkaniu i zatrzymał się przed ojcem.

— Jak mógłbym wyjechać na podwórze?

I tu tkwiła nowa trudność. Drewniane scho-

Oczy Rista błyszcząły.

— Opowiadaj o tym wózku.

Risto wiedział bez opowiadania: był to złoty wózek. Nikt nie miał takiego wytwornego, nawet prezydent. Sam się toczy. Risto siedzi w wózku, a ludzie pytają:

— Kim jest ten chłopiec? Gdzie zdobył ta ki wspinały wózek?

I Risto wyobraża sobie, jak chciałby odpowiedzieć:

— Tatuś go zrobił. Zupełnie sam.

Ale mimo to milczy. W odpowiedzi tylko się uśmiecha.

W końcu wózek był gotów, ale ojciec nie miał wesołej miny, gdy przyprowadził go do domu.

Inżynier powiedział:

— To nie może tak trwać dłużej. Pracujecie wieczorami zbyt długo. Jeżeli się to nie zmieni, przesunie się was do innej pracy.

— Mój wolny czas należy wyłącznie do mnie.

— Ale czas pracy należy do nas, a wy się męczycie przy swojej robocie. Przykro mi, że muszę zwracać wam uwagę. Wiem, nad czym pracujecie, ale mimo to wszystko musi się kręcić po staremu.

Szczęście, że tak powiedział. Podobnie i ojciec powiedział Ristowi, może nie tymi słowami, ale zmierzając w tym samym kierunku. Wszystko trzeba prowadzić jak dotąd. Należy się zastanowić, co dalej robić.

Risto spróbował, jak się jeździ na ręcznym wózku. Kuchnia i pokój były ciasne. Raz po

usiłował znaleźć nowe zajęcia, skoro z tych dawnych nic nie wychodziło.

— Co chcesz, żebym ci zrobił?

Risto siedział na kanapie, opierając się na rękach, w oczach malowało się zmęczenie.

— Nie wiem.

— Przydałby ci się wózek, na którym mógłbyś się poruszać. Nie potrzebowałbyś wtedy siedzieć na hulajsankach\*.

Risto skrzywił usta.

— Powiedz więc, jeśli chciałbyś mieć coś innego.

— Protezy. Takie, aby można było jeździć na nartach.

— Najpierw musisz trochę podrosnąć — odezwała się matka. — Te protezy są drogie. Ty rośniesz bez przerwy, a protez nie można zmieniać.

— No, więc nie.

Zapał Rista zgasł. Eołożył się na boku.

— Najpierw dostaniesz wózek — rzekł ojciec. — A potem zobaczymy.

Ojciec zrobił się roztargniony. W miejscu pracy było to także widoczne. Spojrzenie inżyniera zatrzymywało się coraz częściej na ojcu, który wykonywał pilnie swoją robotę montera, ale widać było, że myślał o czymś innym. Gdy czas pracy się kończył, ojciec zostawał w warsztacie. Pracował zawzięcie do późna.

Risto czekał na niego co wieczór.

— No i co, mój synu?

\* Używane w Finlandii sanki, zbudowane podobnie jak hulajnoga, z tym że są na płozach, a nie na kółkach.

domu i do pracy. Gdy dorośniesz, porozmawiamy o tym jeszcze. Wytłumaczę ci także, jak to było z tą wojną domową, którą prowadziliśmy na długo przedtem i w której walczył brat przeciw bratu. Teraz nie ma jeszcze potrzeby opowiadać ci o tym. To była gorzka sprawa dla tego twojego starego towarzysza z sąsiedniego łóżka. Rozumiem to. Gdy siedziało się w więzieniu z powodu sprawy, którą uważało się za słuszną, nigdy się tego nie zapomina. Są sprawy, od których nigdy nie można się wyzwolić. Nie wiadomo, co wtedy było najlepszą decyzją. Myślę, że ja wiedziałem, i dlatego waliliśmy w pysk sąsiada, tę Rosję, ile włązło. Teraz nie mówi się już o tym.

Risto przysłuchiwał się uważnie. Obrazy kreślone przez ojca stawały mu w oczach jak żywe. Wojna budziła lęk. Ojciec również powiedział, że niejednokrotnie się bał. Ktoś stracił na wojnie obie nogi. Wojna jest jak orkan albo jak pociąg, który miażdży wszystko, co tylko się przed nim znajdzie. Dawniej, zanim pociąg obciął Ristowi nogi, wojna wydawała mu się dziką przygodą, zabawą w Indian.

Ty, tatusiu, potrafisz zrobić wszystko,  
co tylko zechcesz

Risto przyglądał się ojcu. Ojciec potrafił zrobić wszystko, co tylko zechciał. Risto pamiętał: przed tym robił z nim wszystko razem, co tylko przyszło mu do głowy. Teraz

więc cóż, zdobędziemy czerwonego. Czy wiesz, Risto, że to kolor życia?

— Tak mówił i ten mężczyzna.

Twarz Rista miała wyraz dorosłego człowieka. Ojciec zamyślił się, a potem zaczął pytać Rista, co jeszcze opowiadał tam w szpitalu ten mężczyzna.

— Byliście z sobą tak długo razem i, jak się zdaje, rozmawialiście o sprawach, które utkwily ci w pamięci.

Risto opowiedział nieco o tych rozmowach. Ojciec chwycił, o co chodzi. Matka siedziała z rękami na kolanach i słuchała.

— Ten mężczyzna miał niewątpliwie немало słuszności — rzekł w końcu ojciec, gdy Risto nie mógł sobie więcej przypomnieć. — Zawsze, ilekroć się głosowało, dawałem kreskę na lewicę. I tak samo twoja matka. To znaczy, że my popieraliśmy czerwony kolor. Kolor życia. Ale ja byłem na wojnie, wiesz dobrze, Risto. Myśmy do niej nie dążyli, ale trzeba było na nią iść. Tam polało się dużo czerwonego koloru, Risto. Ale nie polało się na próżno. To stwierdziliśmy my wszyscy, robotnicy. Czybyś był rad, gdyby jakiś sąsiad usiłował zrobić z ciebie takiego samego, jak on sam? Czy pozwoliłbyś na to, Risto? Gdyby to był na przykład Kalle sąsiada? Gdyby ci mówił, co ci wolno robić, a czego nie?

— Dałbym mu w pysk — odparł Risto.

— My także próbowaliśmy to zrobić — rzekł ojciec. — Później spotrzegliśmy, że lepiej skończyć. Druga strona powiedziała: koniec, i my powiedzieliśmy: koniec. Sami we własnym imieniu. A później wróciło się do



alarmowego. Całkiem jak w runach.\* Masz dobry słuch, Risto. Spróbujemy razem zaśpiewać twój wiersz.

Śpiewali i obu zebrano się na śmiech. Matka słuchała, stojąc przy płycie kuchennej, i tłumiała westchnienia.

— No, chłopaki! — rzekła. — Teraz należałoby chyba znaleźć klucze do większego lokalu. Może nasz Risto będzie sławnym śpiewakiem?

Usta matki rozszerzył uśmiech. Oczy Rista były promienne, była z nich radość tworzenia.

Ojciec zdjął ze ściany gitarę, zabrzdakał na niej początek, a następnie odśpiewali jeszcze raz strofy Rista.

— Risto powinien dostać jakiś instrument muzyczny — powiedział ojciec. — Co byś chciał?

— Glinianego kogutka.

— To będzie najlepsze — powiedziała matka.

— Na kogutku możesz wygwizdać choćby wszystkie piosenki świata. Własne i cudze.

— Czerwony kogutek-gwizdawka — powiedział Risto.

Ojciec i matka spojrzeli na siebie.

— A inny kolor nie odpowiadałby ci? — spytał ojciec.

— Nie! — odparł Risto. — Ten stary człowiek w szpitalu powiedział, że gdyby zwyciężył czerwony kolor, wszystko ułożyłoby się lepiej. Dla nas, robotników.

— Był to chyba jeden z tych weteranów wojny domowej — powiedział ojciec. — No

\* Runy — fińskie pieśni ludowe.

stwo mają dach nad głową. Mieszkanie jest ciepłe. Nie wszyscy mają takie. — Twarz mężczyzny siedzącego za stołem przybrała uroczysty wyraz. Przypominał duchownego na kazalnicy. — Jest duży brak mieszkań. Niech państwo będą zadowoleni, że mają w ogóle gdzie mieszkać.

Ceny dużych lokali były za wysokie.

— I na nie są amatorzy — powiedział u-rzędnik. — Ale mówię to tylko jako przykład.

— Co powiedzieli? — spytał wieczorem ojciec.

— Dziękujcie Panu, że macie dach nad głową — odparła rozgoryczona matka. — Tu mieszkamy i tu pomrzemy.

— No, no — rzekł ojciec. — Świat się przecież nie skończy, gdy spłacimy odszkodowania wojenne.\* Wówczas znów spróbujemy.

Sygnal alarmowy dzwonił dzień w dzień. Risto przysłuchiwał się: słowa i uderzenia sygnału mieszały się w jego uszach. Znalazł wreszcie słowa, które sygnał powtarzał:

*To klitka,  
jest kuchnia i komórka,  
ale nie ma WC.  
Wygódka jest w kącie podwórza.  
W kuchni wiadro z wodą stoi,  
a sygnał dzwoni, dzwoni, dzwoni...*

— To ci dopiero chłopak — powiedział ojciec. — Recytuje wiersze w takt sygnału

\* Po przegranej w r. 1944 wojnie Finlandia musiała płacić Związkowi Radzieckiemu poważne odszkodowania i kraj był w ciężkiej sytuacji.

HH

UBU

W?'

— To ten sygnał — powiedział Risto. — Słuchaj, czy nie moglibyśmy przeprowadzić się gdzie indziej?

Ojciec wiedział, że właśnie o tej samej godzinie pół roku temu pociąg znajdował się w tym samym miejscu. Może ten sam pociąg? Może ten sam maszynista? Wówczas jednak sygnał alarmowy nie budził niepokoju.

Póki będą tu mieszkali, dzwonienie sygnału będzie przywodziło na myśl wypadek.

— To nie takie proste, jak się wydaje — odezwała się matka. — Komorne zapłacił się już z góry na parę lat. Zresztą nikt nie zechciałby się tu wprowadzić. Klitka jest taka mała i niewygodna. Kuchnia na drzewo i ogrzewanie kominkowe. Nie ma nawet ubikacji. Ale sama nic nie miałabym przeciwko temu, żebyśmy mieszkali lepiej.

Łoskot pociągu ucichł, napięcie zniknęło z twarzy Rista.

— Czy mógłbym i ja dostać kawę?

— Ach, mój Boże! — wykrzyknęła z ulgą matka. — Siedzi tu dwóch mężczyzn, a ja podaję kawę tylko jednemu.

— Spróbuje się to załatwić — powiedział ojciec. — Matka pójdzie porozmawiać w biurze wynajmu mieszkań. Przemówi do tych panów tak, aby wzięli sobie do serca naszą sprawę.

W biurze wynajmu mieszkań byli uprzejmi, wysłuchali cierpliwie, w jakiej sprawie przychodzi matka.

— Czasem lokator ma za dużą powierzchnię. Cena mu nie pasuje. Niemniej pań-

—Czego nie powiedziałem?

—No i co, synu?

Ojciec opuścił gazetę na kolana.

— Przysuń się bliżej.

Risto przyczołgał się bliżej krzesła. Ojciec pogłaskał go po włosach i powiedział:

— No i co, synu?

Ojciec i syn spojrzeli sobie w oczy.

— Gardłem odpowiem, jeśli jeszcze kiedyś zapomnę — oświadczył ojciec i przesunął dłonią po szyi. — Gwarantuję. Co dziś robisz?

— Oglądaliśmy książki z obrazkami — powiedziała matka. — Czytałam mu.

— Z obrazkami przedstawiającymi chłopców, którzy mają nogi — powiedział Risto. — Czytaliśmy o chłopcach-, którzy biegają.

— Usiądziesz na krzesło, Risto? A może cię podnieść?

Risto spróbował dostać się na krzesło. Ojciec przyglądał się wysiłkom syna i popijał małymi łykami kawę. Pot wystąpił chłopcu na czoło, gdy usiłował podnieść się siłą własnych rąk. Oczy błyszcząły z wysiłku i zmęczenia, ale na twarzy malował się nieustępliwy upór.

— Nie dam rady.

— Czy mam ci pomóc? Gdy ręce nabiorą więcej siły, dostaniesz się, gdzie tylko ci się spodoba.

Ojciec przeniósł go na krzesło. Ponad stołem patrzyli jeden na drugiego.

— Czy ciąży ci coś na sercu?

W tejże samej chwili zaczął dzwonić sygnał alarmowy na przejeździe. Spojrzenie Rista nabrało ostrości.

stawem dlatego, że nie dostrzegało się go niemal do ostatniej chwili. I dlatego można się go było bać. Ale pociąg, który nagle przeobraził się w smoka, był żywy.

— Jeśli spotkasz smoka, nie patrz mu w oczy — powiedziała kiedyś matka. — Jeżeli spojrzysz, to już przed nim nie uciekniesz.

Risto spojrział w oczy smoka.

Ojciec zerknął na Rista znad gazety, gdy umilkło dzwonienie sygnału alarmowego. Chłopiec potrafił już siedzieć, opierając się na rękach, mógł się też poruszać. Ilekroć ojciec przychodził z pracy, Risto spotykał go w przedpokoju. Zbliżał się do drzwi, jego pochylony do przodu korpus chwiało się na rękach. I tam na progu drzwi zatrzymywał się.

— Hej, Risto!

— Hej, tatusiu!

Ojciec miał zwyczaj mijać Rista tak, jakby go nie dostrzegał; nie zerkał nawet na syna. Niemniej ojciec czuł, jak bardzo syn czeka na jego spojrzenie i parę słów. Toteż później zatrzymywał się jakby mimochodem i kładł dłoń na głowie chłopca.

— No i co, synu?

Pytanie nie domagało się odpowiedzi, ale słowa ojca rozgrzewały Rista. Tęsknił za nimi. Czekał na nie.

Pewnego razu ojciec, zajęty myślami o przykrościach w pracy, zapomniał powiedzieć: „No i co, synu?”

— Co ci dolega, Risto? — zapytał niebawem ojciec. — No, Risto?

— Bo nie powiedziałeś — szepnął Risto.

Ostrzegawczej latarni nie było jednak widać, gdy zbiegało się na przełaj ze zbocza ścieżką, tą, którą zbiegał Risto podczas zabawy w Indian. Las, i stok wzgórze tłumili turkot pociągu.

Pociąg pasażerski, pod który wpadł Risto, kontynuował swą podróż, bo nikt nie zauważył wypadku. Maszynista dowiedział się o tym dopiero później, przyszedł do szpitala odwiedzić Rista.

— To się musi zmienić — mruknął mężczyzna.

Miał dobre, ciepłe oczy i ciepłą rękę. Zjawił się jak święty Mikołaj, przyniósł Ristowi podarki, owoce i nakręcany samochód.

— Nie widziałem ciebie — powiedział maszynista. — Zresztą gdybym nawet spostrzegł, nic nie mógłbym poradzić. Nie zdołałbym za trzymać, w żadnym razie. Dlaczego nie zszedłeś z toru, Risto?

— Nie wiem. Ot, po prostu tam byłem.

Smok ma wielkie, błyszczące ślepie. Gdy patrzy na człowieka, człowiek na miejscu drętwieje. Spojrzenie jest tak silne, zimne, że w jego zasięgu niepodobna się ruszyć. Ta lokomotywa wypadła zupełnie jak smok.

— Ja nie wiem.

Wódz Indian nie mógł się bać. Gdyby się zląkł, nie nadawałby się na wodza. Oczywiście, może się bać, ale tak, aby nikt o tym nie wiedział. Błotnisty staw Ahti napelniał lękiem, wciągał małych chłopców w czarną toń. Na brzeg stawu można chodzić, choć przejmuje to strachem. Ahti był dziwnym

— Sprawy toczyły się trochę pokrętnie. Przebywałeś chyba nieco za długo wśród tych starych ludzi.

Widać było, że ojciec zastanawia się nad czymś poważnie.

— Co byś powiedział, Risto, żebyś tak zaczął zbierać znaczki pocztowe? — spytał. — Będzie to niezłe spędzanie czasu, rozrywka. A może również pożytek. Będiesz mógł poznawać rozmaite kraje.

— Proszę bardzo — odparł Risto.

H

No i co, synu?

Na przejeździe kolejowym sygnał alarmowy dzwonił gwałtownie, pociąg mknąc szybko i sapiąc potężnie minął ścięte zbocze skalne. Natarczywe dzwonienie sygnału alarmowego niepokoiło Rista i napięty wyraz zniknął z jego twarzy dopiero wówczas, gdy dzwonienie ucichło i umilkł turkot pociągu.

HH

Sygnał alarmowy zamontowano, gdy Risto leżał w szpitalu. Do dnia nieszczęśliwego wypadku na przejściu był szlaban, wcześniej nie było żadnego urządzenia ostrzegawczego. Szlaban ustawiono na przejeździe po tym, gdy jakiś samochód wpadł tu pod pociąg. Najpierw jeden samochód. Wszyscy wyszli z życiem. Na przejeździe nic się nie zmieniło. Później drugi samochód. Z roztrzaskanych szczątków samochodu wydobyto dwóch zabitych. Na miejscu stanęła latarnia, migocąca białym i czerwonym światłem, oraz szlaban.

niego dobrze, jego głos brzmiał serdeczniej niż kiedy indziej. Jemu samemu było ciężko, cierpiał i płakał. Miał piekło na ziemi — sam to mówił. Piekło biednego człowieka.

— Dla Rista ten szpital był szkołą życia — rzekł ojciec słuchając jego opowieści. — Tam trafiają się najrozmaitsi nauczyciele.

Leżenie w łóżku nauczyło Rista jeszcze czegoś. Słowa zaczęły żyć i poruszać się, ustosunkowywać się do różnych zagadnień i ich hierarchii, usiłowały ujawniać się na swój własny sposób.

— Dziwna rzecz, ten chłopak układa bez sensowne wiersze — powiedziała matka.

Ojciec odparł:

— Jest w nich sens. Wymyśla fidrygałki, gdyż ma na to czas. Ale w tej zabawie układa również wiersze o samym sobie.

Risto wyrecytował w szpitalu ułożony przez siebie wiersz:

*Anioły zniknęły.  
Bóg strajkuje,  
Czerwoni i Rzeźnicy \*  
są braćmi.  
Karabin maszynowy terkocze.  
Naprzód! Naprzód!  
Czerwone i białe sztandary  
prowadzą do zwycięstwa.*

Ojciec słuchał uważnie.

— **Jak** się zdaje, jesteś pod wpływem opowiadań tego starego człowieka — powiedział.

\* W czasie wojny domowej w Finlandii w r. 1918 rewolucjoniści robotniczy i chłopski tzw. Czerwoni nadali swym przeciwnikom tzw. Białym przezwisko „Rzeźnicy”.



— Jesteś dzielnym chłopcem — mówił ciepły głos.

Wtedy Risto wiedział, że człowiek jest tak samo dobry, jak anioł, a nawet lepszy od niego. Anioł, podobnie jak Pan Bóg, jest niewidzialny. Tak mówiła matka. Żyje tylko w wyobraźni, w myślach człowieka. Ale człowiek czuje, że dotknięcie jego ręki jest dobre, że jego głos jest ciepły.

Ojciec i matka przynosili z sobą zawsze niedzielę. Kiedy odchodzili, niedziela zmieniała się w czarny dzień powszedni. Minęło wiele czarnych i zwyczajnych dni powszednich i wiele niedziel, zanim Risto wrócił ze szpitala do domu. Przedtem opuścił szpital stary mężczyzna z sąsiedniego łóżka.

— Miły z ciebie chłopak, Risto — powiedział na pożegnanie. — Po tym, co cię spotkało, nie będziesz zdalny do wszystkich robót, ale pomimo to dasz sobie lepiej radę niż ja. Choć brak ci nóg, masz głowę na karku. Człowiek od łopaty, jak ja, musi mieć nogi. Ale kiedy rusza się dobrze głową, można sobie poradzić bez nóg. Pamiętaj o tym, jeśli czasem życie wyda ci się przykre.

Ten drugi stary mężczyzna, który przeklinał niebo i ziemię, opuścił salę cicho, pod prześcieradłem. Przedtem przychodził czasem do Rista, aby z nim pogawędzić. Wypytywał go o rodziców, o pracę ojca. Powiedział:

— Słuchaj, chłopcze, twoja droga będzie ciężka. Silniejsi wykopują słabych. Ty musisz bronić się przed nimi siłą słowa.

Risto zrozumiał, że mężczyzna chciał dla

nim leżał całkiem cicho. Czy wstrzymywał oddech? Pielęgniarki poruszały się wówczas prędko, bez uśmiechu. Ristowi wydawało się, że poruszają się jak maszyny, naprzód, w tył, na bok, prędko naprzód, w tył i na bok. Przez drzwi na korytarz.

W pokoju poza Ristem byli tylko sami dorośli, starzy mężczyźni. Niektórzy tak okropnie starzy, że ojciec przy nich wyglądał młodo. Mówili dużo, a słowa wielu były gorzkie, pełne nienawiści. Jeden bardzo stary mężczyzna był dawno teniu więźniem, czerwonym — tak mówił, a jego dwaj synowie polegli na wojnie. Rozmawiał o tym z mężczyzną z sąsiedniego łóżka. Kłął i mówił, że nie ma Boga ani nieba, a piekło jest tylko na ziemi. I powiedział, że bajka o aniołach jest starą bzdurą, którą karmi się dzieci.

Wtedy Risto zamykał oczy i krzyżował ręce pod kołdrą.

— Dobry Boże, jeśli jesteś, zmiłuj się nad tym starym człowiekiem. Dla mnie Ty istniejesz takim, jakim przedstawiają Cię ojciec i matka: Ty jesteś niewidzialny, Ty żyjesz w nas i we wszystkim; co nas otacza. Bądź dobry dla tego starego człowieka, ponieważ jest taki nieszczęśliwy. Amen.

Ow<sup>T</sup>szem, Risto wiedział, że białe anioły to pielęgniarki. Widział je jak przez mgłę, przy-fruwały do niego.

W miarę jak dni przechodziły w tygodnie, widział wszystko wyraźniej. Gdy dłoń opuszczała się, aby pogłaskać mu włosy, piersi wypełniało przyjemne uczucie.

## Anioły

W białym pokoju były biało ubrane kobiety, które przychodziły i wychodziły. Czasem unosiły się w powietrzu jak anioły. Matka mówiła, że anioły latają, że anioły są białe, że są dobre, że się uśmiechają. Gdy Risto zabolał uspokajający zastrzyk, widział wtedy anioły. Miały śmiejące się przyjaźnie oczy i ciepły, miękki głos. Ktoś przychodził, kładł dłoń na głowie i lekko głaskał. Ktoś mówił parę słów. Niektóre słowa pozostawały i dźwięczały ciepło, uspokajały i wprawiały w dobry nastrój. Słowa coś obiecywały, Risto nie wiedział, co naprawdę obiecywały, ale było to coś dobrego. Najpiękniej brzmiało słowo: życie. Zawierało coś, czego niepodobna było w pełni zrozumieć. Najważniejsze było to, że zawierało ojca i matkę. Obecność ojca i matki czuło się długo, długo w tym cudownym słowie.

Czas w białym pokoju dzielił się na światło i ciemność, na dni powszednie i niedziele. Dzień powszedni mógł być w każdej dowolnej chwili albo też każdego dowolnego dnia. Był wtedy, gdy dorośli mężczyźni narzekali, kiedy ktoś był ponury, zrzędny. Czasem jednak nie wiadomo było, czy to dzień powszedni, czy też niedziela. Było tylko cicho, tak cicho, że nie słyszało się nic innego, jak oddech albo czyjeś westchnienie. Wtedy jakieś łóżko i leżącego na nim mężczyznę wynoszono, twarz mężczyzny zakrywano prześcieradłem, aby Risto nie widział. Usiłował patrzeć, ale widział tylko prześcieradło, A mężczyzna pod

— Wiem już — powiedział głosem, w którym wyczuwało się napięcie. — Kiedy ja w nocy... kiedy to się stało... do diabła! Do pioruna! Do diabła!...

— Pofolguj sobie, Risto — powiedział ojciec i uściskał mu rękę. — To przynosi ulgę. Pofolguj sobie!

— Ach, nie, kochanie, kochane dziecko — obruszyła się matka z udręką w głosie. — Nie! Nie przeklinaj! Przestań, Risto!

Ale Risto wyrzucał z siebie wszystkie przekleństwa, jakie znał, a ojciec ścisnął mu rękę i kiwał potakująco.

— Ten chłopak wyrośnie jeszcze na męża czynnego — odezwał się pacjent z sąsiedniego łóżka. — Są w nim dobre zadatki.

Risto powstrzymywał płacz. W piersiach miał tyle cierpienia, że chętnie by skłonił głowę na ramię ojca i zapomniał o wszystkim, ale ponieważ nie wolno było mu się ruszać, mógł jedynie odpowiedzieć na uścisk ojcowskiej dłoni.

— Miałem tam z sobą niklowany pistolet — wyszeptał Risto. — Pewnie przepadł. Pistolet i łuk.

— Nie martw się — powiedział ojciec. — Zdobędę nowe, i to lepsze. A gdy wyjdiesz stąd, będziemy strzelać na wyścigi, jeden przez drugiego.

Matka podsunęła przyniesione smakołyki.

— Jedz! To dobre.

Risto patrzył na nieznane owoce.

— To banany — powiedziała matka. — Przyplłynął statek z owocami. Pierwszy po wojnie statek z bananami.

poniżej prawego biodra. Lewa ręka dotarła do miejsca, gdzie kończy się udo, dalej napotkała na pustkę. Przeróżliwy krzyk! Coś białego unosi się koło łóżka. Ostre ukłucie igły, ciemność.

Gdy Risto otworzył oczy, napotkał ciepłe spojrzenie ojca.

— Hej, Risto — rzekł ojciec, a wraz z nim zjawił się dom i bezpieczeństwo, dobre samopoczucie.

— Kochany, mały syneczku mamusi — powiedziała matka, pochylając się, aby pogłodzić ręką Rista.

W głosie matki było coś z ciepłego mleka, ale zarazem coś obcego. Powiedziała: kochany, mały syneczku mamusi, a to nie było w jej zwyczaju. Byłoby lepiej, gdyby powiedziała po prostu, jak zawsze: synu! To przecież dziwne, że nie mówi do niego: mój duży synu! Mówi: kochany, mały syneczku mamusi, i to oznacza coś niedobrego, choć w głosie wyczuwa się smak ciepłego mleka.

— Taki jest los, Risto — powiedział ojciec i dotknął jego ręki.

Były to mocne słowa, tak jak mocny był ojciec.

Stary mężczyzna, ten, któremu pomieszało się w głowie, biadolił.

— Żali się biedak — powiedział Risto.

Ojciec trzymał jego rękę, patrzył tylko na niego i wzrokiem dodawał mu sił. Risto przełknął ślinę.

Później w jego oczach zjawił się jasny, palający wyraz.

cieli, spadali i znów wlatywali. Stół, biało ubrani mężczyźni i kobiety. Wiiiuuu. Wszystko zniknęło.

Risto rozglądał się dokoła. Nie znał tego miejsca. Wielki biały pokój, łóżka, a na nich mężczyźni. Jakiś mężczyzna stał też przy łóżku Rista i patrzył na niego. Obcy mężczyzna.

— Obudziłeś się już — rzekł serdecznie. Długo bujałeś w obłokach. Całe dwie doby. Bawiłeś się z pewnością we śnie. Wydawałeś rozkazy. Z ciebie na pewno morowy ku<sup>mP<sup>e</sup>\*</sup>.

— Gdzie jestem?

— Nie wiesz? W szpitalu.

— Dlaczego?

Mężczyzna długo patrzył w milczeniu.

— Nie masz nóg — odezwał się wreszcie.

— Nie kłam! — rzekł Risto.

— Nie wierzysz więc, skoro nazywasz mnie kłamcą — rzekł mężczyzna. — Na miłość boską, że też ci dzisiejsi smarkacze są tacy dziwacznicy. Mówi im się, a ci nie wierzą.

— Zostaw chłopca w spokoju — odezwał się ktoś z boku i mężczyzna poczłapał do swego łóżka.

— On nie jest przy zdrowych zmysłach szepnął z drugiego łóżka spokojny stary mężczyzna tak cicho, że słyszał go tylko Risto. — Nie przejmuj się jego gadaniną.

Risto poczuł się trochę lepiej, ale słowa tamtego mężczyzny tkwiły w pamięci jak zadra. Stało się coś osobliwego. Dlaczego nie mogę siedzieć? Dlaczego tu jestem?

Opuścił powoli rękę wzdłuż ciała. Grube bandaże dookoła miednicy. Dłoń zapadła się.

— Obie nogi urwane. Jedna od biodra, druga od podudzia.

— I oni mówią, że uratują chłopca?

— Tak mówią... Ale może być i inaczej.

— Czy będzie mógł z tym żyć?

— Tak, jeśli my będziemy umieli żyć wspólnie z nim — rzekł ojciec.

— Nie mogę pojąć, dlaczego wszedł na tory — powiedziała matka.

— A ja rozumiem. Risto chciał być lepszy od innych. Zawsze chciał być lepszy. To nie jego wina. To moja wina. Kładłem mu bez ustanku w głowę, że powinien starać się być najlepszy. Jeśli wyjdzie z tego z życiem, trzeba mu uprzytomnić, że musi się przyzwycząić do innego rytmu życia.

— Tak — szepnęła matka. — Najważniejsze, żeby żył.

Dwie doby życie Rista wisiało na włosku. Bredził:

•— Uważaj, uważaj! — wołali ze szczytu skały pozostali Indianie. — Przejedzie. Co? Bestia! Bestia o ognistych oczach, która wyskoczy z załomu skały. Bestia! Sapanie. Noc. Ciemność. Coś białego zbliża się ku mnie. Anioł? Tatuś! Silne ręce ojca. Tam łuk, tatusiu. Upadł. Dlaczego biegniesz, tatusiu? Pozwól mi biec koło ciebie. Dam radę...

— Wiiuuu! Co tak wyje, tatusiu? Tatusiu, gdzie ja jestem? Czy leżę w kołysce? Kołyszą mnie. Wiiuuu! Tatusiu, o kim oni mówią? O jakimś małym chłopcu. Do szpitala! Wiiuuu... Co się stało temu chłopcu? Opowiem później.

Na rękach ojca z karetki. Obaj lecieli. Le-

— Risto wpadł pod pociąg! Risto wpadł pod pociąg! Risto...

W otwartym oknie mignęły twarze mężczyzny i kobiety. Mężczyzna wypadł na zewnętrzne schody z prześcieradłem w ręku i skoczył przez podwórze na ulicę.

— Gdzie? — pytał biegnąc.

Policjant, mieszkający w sąsiedztwie, wracał ze służby do domu.

— Zadzwoń do Pogotowia Ratunkowego! — zawołał nie zatrzymując się mężczyzna. — Za raz będziemy musieli jechać do Czerwonego Krzyża!

Policjant machnął ręką na znak, że usłyszał. Matka Rista wyszła z domu. Opadła na schody z twarzą ukrytą w dłoniach. Siedziała tam jeszcze, kiedy ojciec nadbiegł z powrotem niosąc na rękach Rista.

— Żyje? — spytała matka i podeszła parę kroków bliżej.

— żyje — odparł ojciec i wraz ze swym ciężarem ruszył do karetki pogotowia, która właśnie zatrzymała się przed furtką.

— Teraz w drogę i powiedzcie w szpitalu, że to sprawa minut. Ja dam swoją krew i żona da swoją... Można wziąć więcej niż potrzeba.

Tym razem niepotrzebna była krew ani ojca, ani matki. Szpital miał w banku odpowiednią krew. Matka siedziała w poczekalni, kiedy ojciec wyszedł z sali operacyjnej. Czekala już parę godzin. Krok ojca był ciężki.

— Żyje — powiedział. — Cały czas przetaczano mu krew. Kikuty zaszyto.

— Kikuty?



Risto nie zamierzał iść przez tor. Chciał poprowadzić swych wojowników kawałek wzdłuż toru, a później za wyłomem skalnym wrócić do lasu i od strony lasu okrążyć wojowników Czerwonego Pióra. Dotarłszy do toru, spojrzął w górę ku skale.

— Strach was obleciał? — zawołał Risto. — Idę, choćbym miał iść sam.

Ale chłopcy nie poszli za nim. Bali się. Risto wiedział, że się boją.

Biegł wzdłuż toru. Chłopcy, którzy pozostali na skale, zaczęli wołać:

— Risto, uważaj, uważaj! Pociąg jedzie, pociąg jedzie!

Risto zatrzymał się. W jednym ręku miał łuk, zrobiony przez ojca, w drugim — niklowany pistolet. Obejrzał się. Następnie spojrzął przed siebie. W którą stronę pobiec? Był w połowie skalnego wybrzuszenia.

— Uważaj, uważaj! — wołali chłopcy. — Przejedzie cię!

Ale sapiąca lokomotywa wypadła już zza skały. W napływającym zmięczeniu wyglądała jak wielkooka bestia. Dwoje ognistych oczu, potężny grzmot rozsadzający skałę. W ostatniej chwili Risto spróbował uskoczyć na bok. Miał uczucie, że połyka go jakiś potwór. Natychmiast, gdy Risto wpadł pod pociąg, jego wojownicy pognali w stronę domu. Po drodze przyłączył się do nich Czerwone Pióro wraz ze swoim zastępem wojowników. Biegli co sił w nogach. Skraj lasu, ulica i wkrótce przed chłopcami był już szereg drewnianych domów. Zatrzymali się przed furtką pierwszego z brzegu i krzyknęli:

# I

## Dwoje ognistych oczu

— Chodźcie tu prędko — zakomenderował Risto. — Dostaniecie się do niewoli albo zginiecie.

Risto biegi. Był indiańskim wodzem Szybka Stopa, prześcigał wszystkich. Nie bał się niczego. Wraz z nim trzech chłopców prowadziło grę wojenną przeciwko plemieniu wodza Czerwone Pióro. Zamierzał użyć podstępu i wiódł swoich ludzi na tyły nieprzyjaciela.

Ojciec opowiadał, że taką taktykę stosowano w minionej wojnie.\* Zachodzono nieprzyjaciela od tyłu i uderzano zniecacka.

Las był gęsty. Kręta, kamienista ścieżka prowadziła na skałę, a z niej spadała po stro-miźnie na tory kolejowe. Dorośli korzystali ze ścieżki, jako z najkrótszej drogi, przechodząc na drugą stronę toru. Był to jednak zabroniony skrót.

— Pamiętaj, Risto, to niebezpieczne — mówili ojciec i matka.

— Nie chodź tamtędy.

\* Akcją powieści dzieje się w pierwszych latach po II wojnie światowej (Wszystkie przypisy tłumacza).

Tytuł oryginału fińskiego „Ma  
voitan kaikki”

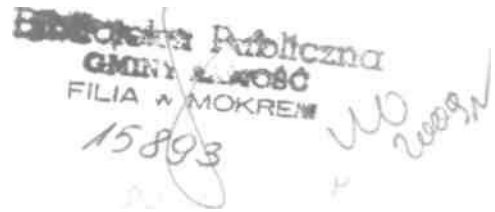
WSOY, Helsinki

© Eino Koivistoinen 1974

© Copyright for the Polish edition by I.W.  
„Nasza Księgarnia”, Warszawa 1982

OPRACOWANIE GRAFICZNE  
-MAŁGORZATA ROŻAŃSKA

Redaktor  
ANNA WALENKO  
Redaktor techniczny  
JANINA SCIECHOWSKA  
Korektor  
NAWOJKA PELIWO



ISBN 83-10-08225-8

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, Warszawa  
1982. Wydanie pierwsze. Nakład 20 000+ +300  
egzemplarzy. Ark. wyd. 3,5. Ark. druk. A-1 3,8. Papier  
powlekany ki. V. 80 g, 61X86/24. Oddano do składania  
w listopadzie 1981 r. Podpisano do druku w czerwcu  
1982 r. Zakł. Graf. im. M. Kasprzaka w Poznaniu. Zam.  
nr 16/82 — N-3/233

*i*